

GŁOSY PODOLAN



ISSN 1507-9996

Nr 154

LIPIEC-WRZESIEŃ

2021



BIULETYN HISTORYCZNY ODDZIAŁU TOWARZYSTWA MIŁOŚNIKÓW
LWOWA I KRESÓW POŁUDNIOWO-WSCHODNICH W POZNANIU

„Głosy Podolan”

Kwartalnik Oddziału Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich w Poznaniu.

Zespół Redakcyjny:

Igor Megger (Poznań) Redaktor Naczelny, Hanna Dobias-Telesińska (Poznań), Alicja Kocan (Warszawa), Maria Sikorzyńska (Warszawa), Robert Szczerkowski (Wrocław).

Adres do korespondencji:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Oddział Poznań
„CK Zamek”, ul. św. Marcin 80/82 p.336
61-809 Poznań
Z dopiskiem „Redakcja Głosów Podolan”*

Adres e-mail: igor_mode@wp.pl

Tel. 728-252-793

Strona internetowa : www.lwowiacy.pl

Konto bankowe:

*Towarzystwo Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich
Poznań, ul. św. Marcin 80/82*

PKO BP I O. Poznań

Nr 06 1020 4027 0000 1302 0293 3455

Z dopiskiem: darowizna statutowa (na cele wydawnicze)

Redakcja zastrzega sobie prawo skracania
i adiustacji nadesłanych tekstów.

Na okładce: Czortków na pocztówce z lat 30. XX w. z widokami zamku, kościoła Dominikanów, cerkwi unickiej i dzwonnicy.

SPIS TREŚCI

Stanisław BOGUMILSKI	
Moja droga (cz. V)Wspomnienia z Kamionki Strumiłowej.....	s. 2
Tadeusz JÓŹKÓW	
Moje wspomnienia (cz. II) Chorostków, Deryłozy	s. 8
Bruno BROŻYNIAK	
Dzieciaki na wojnie. Wspomnienia czortkowianina (cz. I).....	s. 15
Zbigniew ŻYROMSKI	
Zwyczaje ludności kresowej na Podolu (cz. III Sierpień – Wrzesień)	s. 22
Janina KWIATKOWSKA	
Moje wspomnienia - Tarnopol, Mikuliczyn, Worochta	s. 25
Wiktor CHMIELUK	
Osobliwości Podola – „Tajemnicza siła”	s. 29
Marek SZPYTKO	
Wędrowki po Kresach – Podole (cz. II).....	s. 33
REDAKCJA	
„Kamienie Pamięci”	s. 35
Komunikaty redakcji	s. 37
Czytelnicy piszą	s. 39
Józefa OKRZESA	
Urodził się 100 lat temu w Czabarówce.....	s.43
Władysław BIAŁOWĄS	
ŚP rzeźbiarz Michał Cwynar oraz Jego Nastasów	s. 50
Hanna DOBIAS-TELESIŃSKA	
ŚP profesor Jerzy Albrycht	s. 54
Wanda BUTOWSKA	
Poznań godnie upamiętnił ofiary „Rzezi Wołyńskiej”	s. 57
Maria DUBANOWICZ	
Śmierć wygnańca	s. 60



LES VOIES DE COMMUNICATION INTERNATIONALE DE LA PODOLIE

RIGA
GDAŃSK
WILNO
POZNAŃ
WARSAWA
KRAKÓW
IWOŃ
TARNOPOL
WŁOCŁAWEK
BERLIN
PRAHA
WŁOCŁAWEK
BUDAPEST

PODOLE
Wojew.
Tarnopolskie

Numer współfinansowany ze środków Urzędu Miasta Poznania i Samorządu Województwa Wielkopolskiego w ramach otwartego konkursu ofert na realizację działań publicznych w dziedzinie kultury w roku 2021

POZnań*



SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA WIELKOPOLSKIEGO

Komunikat Zarządu Poznańskiego Oddziału TMLiKPW

Akcja charytatywna „Serce dla Lwowa”

Poznański Oddział TML informuje, że już po raz 37 organizuje w grudniu br. akcję pomocy Polakom we Lwowie i Kresach Południowo-Wschodnich. Akcją obejmujemy około 150 podopiecznych, którym ostatnio przekazujemy pomoc świąteczną w postaci finansowej odpowiadającej naszej kwocie 150–200 złotych. Z okazji św. Mikołaja przewidujemy około 150–200 paczek mikołajowych dla dzieci.

Akcją obejmujemy naszych podopiecznych we Lwowie, a także za pośrednictwem parafii lub organizacji kultury polskiej od dwóch do czterech środowisk w Strzałkowicach, Brzeżanach, Nowym Rozdole, Przemyslanach i Szczercu. Wszystko zależy od wielkości zebranych środków finansowych, o które zwracamy się do Państwa. W akcji pomaga nam młodzież szkolna oraz skupiona w ZHP i ZHR.

Osoby chętne do przyłączenia się finansowo do tej akcji, prosimy o wpłaty na nasze konto bankowe – numer podany w stopce (to samo, co wpłaty na „Głosy”) Wpłaty prosimy kierować z dopiskiem „Akcja charytatywna”.

Sprawozdanie z akcji oraz listę darczyńców zamieścimy w jednym z następnych numerów „Głosów Podolan”.

Poprzednie akcje szeroko opisujemy na naszej stronie internetowej – zakładka *akcje charytatywne*.

Osoby, które chciałyby się więcej dowiedzieć o akcji, prosimy o kontakt z jej koordynatorem, p. Stanisławem Łukasiewiczem – tel. 502-243-385.

Wszystkim darczyńcom serdecznie dziękujemy.

Stanisław Bogumilski
Poznań

Moja droga

Cz. V

Praca zawodowa do okresu wojny w 1939 r.

Po uzyskaniu dyplomu magistra praw w czerwcu 1934 r., miejscowy starosta p. Kulpiński dowiedziawszy się, że narodowi demokraci z TSL wypowiedzieli mi posadę, pewnego dnia przez umyślnego posłańca, wezwał mnie do siebie na prywatną rozmowę. Rysował mi w różowych kolorach świetlaną przyszłość a w szczególności objęcie w niedalekim czasie posady sekretarza wydziału powiatowego. Obietnice były ponętne, lecz zbyt dobrze znałem życie, spory polityczne i intrygi ludzkie, by sprawę traktować poważnie. Uważałem, że obejmując jakiegokolwiek stanowisko kluczowe na miejscu będę zmuszony związać się z rządzącym blokiem B.B.W.R., do którego nigdy nie miałem przekonania. Bolało mnie jako Polaka i obserwatora życia politycznego to, że starsze pokolenia dla błahych i własnych powodów wzajemnie siebie zżerały. Zaborowe i następne jeszcze pokolenia nie umiały złożyć dla dobra publicznego własnych ambicji i urazów i nie potrafiły się wznieść ponad te drobne sprawy i nie widzieć gdzieś daleko rzeczy wielkich. Tak było w okresie międzywojennym i to się następnie zemściło na całym narodzie.

Czy w mniemaniu starosty miałem uchodzić za przeciwwagę dość silnej opozycji, w obozie której znalazłem chleb i skończyłem studia, trudno było dociec. Jedno było pewne, że ten obóz opozycji znałem dobrze i z dobrej strony. Starosta Kulpiński byłby się omylił gdyby liczył na to, że dam się wykorzystać do niecznych celów. Gdybym nawet na miejscu pozostał, to raczej byłbym się starał Polaków jednoczyć, tworząc pomost do zgody wobec niebezpieczeństwa ukraińskiego, o którym niestety Polacy kresowi często zapominali.

Tym razem jednak wybrałem łatwiejszą drogę i zrobiłem odstępstwo od swoich dotychczasowych zasad. Zresztą cel wytyczony osiągnąłem i trzeba było wreszcie odpocząć, by uporządkować swoje siły. Nawiązałem kontakt z inż. Miterą i Szpakowskim, kolegami z podchorążówki, dzięki którym starałem się o posadę w skarbowce. Nie zaniedbałem też tymczasowych stosunków i uprzejmości z panem starostą, który na czas lipca 1934 r. zaangażował mnie i Bogusię Jaworską do miejscowego Wydziału Powiatowego.

W sierpniu pojechałem na ćwiczenia wojskowe do Jarosława, skąd po czterech tygodniach wprost objąłem posadę w Wydziale Skarbowym w Nisku n. Sanem w charakterze kontraktowego zastępcy naczelnika wydziału. Otrzymawszy z miejsca wynagrodzenie w wysokości 265 zł poczułem się od razu na własnych nogach. Natychmiast pożegnałem się z przeszłością i zacząłem oddychać innym normalnym życiem. Z domu wyjechałem wprawdzie z płaczem matki, ale obiecałem przysyłać pieniądze na opłacanie niezbędnych potrzeb. Rezygnując z wszelkich pretensji majątkowych poleciłem matce, aby domem zaopiekowała się zamężna siostra Zofia i by sprowadziła się do rodzinnego domu. Jak powiedziałem tak się stało. Z głowy spadł mi koszmar, który tyle lat przygniatał mnie do ziemi podcinając mi wszelkie wzloty i zrywy.

Cóż znaczyły obowiązki skarbowe wobec ogromu zadań jakie wykonałem do tej pory? Wreszcie prowadziłem beztroskie życie w gronie nowych kolegów i koleżanek. Nabrałem tężyzny fizycznej gdyż odżywiałem się dobrze, odzyskałem humor, chodziłem na spacer, zabawy i po kilku miesiącach pobytu wybiłem się na czoło rówieśniczego towarzystwa w miasteczku, które bardzo przypominało Kamionkę Strumiłową. Pobyt w Nisku porównałbym dzisiaj do pobytu na wczasach.

Właśnie skończyłem 26 lat i trzeba było pomyśleć o założeniu rodziny. Uważałem, że dość już płynąłem jak samotny żagiel, że trzeba się podzielić dalszymi troskami z kimś innym, z bliską osobą, którą niewątpliwie była Bogusia Jaworska. Ślub nasz odbył się skromnie w małej i cichej kapliczce we wsi Ruda Sielecka, w asy-

ście naszego szkolnego księdza katechety. Ilekroć wcześniej przechodziliśmy razem obok tej kaplicy zawsze marzyliśmy, aby w niej wziąć ślub. Marzenie stało się rzeczywistością! Uznawałem zasadę, że jest to moment, który obchodzi tylko dwie osoby i należy go odbyć bez hałasu i reklamy. Wspólne życie im bardziej jest zamknięte, im bardziej przeznaczone dla dwojga wyłącznie osób, tym więcej jest ono pełne, wartościowe i szczęśliwe. Życie nasze było bardzo skromne, mieszkaliśmy w jednym pokoju z małą kuchnią. Tak minęły nam lata 1935 i 1936.



Kobryn – ul. Piłsudskiego (woj. poleskie)

Z korespondencji jaką stale prowadziłem z kolegami dowiedziałem się, że w Izbie Skarbowej w Brześciu n. Bugiem są duże perspektywy dla prawników w administracji państwowej i zaproponowano mi, abym przeniósł się na tamten teren. Nic nie mieliśmy do stracenia i w krótkim czasie 1936 r. siedzieliśmy już w Brześciu n. Bugiem. Tu istotnie zacząłem robić karierę. Na całą Izbę Skarbową było zaledwie dwóch prawników z trzyletnią praktyką. Wobec tego po zdaniu egzaminu na pracownika I kategorii, zostałem mianowany w 1937 r. na zastępcę naczelnika Wydziału Skarbowe-

go w m. Kamień Koszyrski a po półrocznym tam pobycie na identyczne stanowisko w m. Kobryń na Polesiu.

Muszę podkreślić, że żyliśmy po prostu na walizkach, że windowałem się w górę w zawrotnym tempie i wyrażałem obawy przed żoną, aby to tempo życia i awansu nie zakończyło się źle dla obojga. Nie chciałem rewolucyjnych zmian w swoim i tak burzliwym życiu a pragnąłem raczej spokojnego i gruntownego doskonalenia się wspinając się na wyższy szczebel społeczny.

Tymczasem to tempo jeszcze bardziej wzrastało. Dnia 23 VI 1938 dobiegła mnie jedna z niewielu chwil szczęśliwych a mianowicie powierzono mi obowiązki Naczelnika Urzędu Skarbowego w m. Stolin n. Horyniem.

Mając lat 29, stałem się szefem powiatowej administracji skarbowej. W przedwojennej rzeczywistości fakt ten należał do rzadkości. Pierwsze kroki były nieśmiałe, ale z biegiem czasu silnie ująłem ster urzędu w ręce. Doświadczenie z dawnej pracy społecznej, umiejętność poznawania ludzi i stosunków w czasach studenckich, przydały się tu bardzo. Wprawdzie obracałem się dotychczas w nowych środowiskach miejskich, ale niewiele dały mi te małe środowiska, przez które przechodziłem przez ostatnie lata. Niewątpliwie zdobyłem rutynę fachową, dalszą znajomość ludzi i spraw małomiasteczkowych, ale nie dały mi właściwego obycia i towarzyskiego wyrobienia. Na te sprawy nie było czasu, pieniędzy i specjalnego nastawienia. Mimo wszystko musiałem wysoko trzymać sztandar swej władzy i nie pozwoliłem sobie na lekceważenie mojej osoby. Ostrożność w postępowaniu to była dość ważna moja cecha w podchodzeniu do spraw i ludzi. Zresztą miałem wrodzoną zdolność poznawania charakterów ludzkich i na tym instrumencie nigdy się nie zawiodłem. Miałem w życiu mało przyjaciół, ale za to bardzo wypróbowanych i ofiarnych.

Składając oficjalne wizyty u miejscowych dygnitarzy, znalazłem się też u księcia Karola Radziwiłła II ordynata ordynacji dawidgródeckiej. Tak się złożyło, że mimo zapowiedzianej wizyty ordynata nie zastałem, więc zostawiłem mu wizytówkę. Na rewizytę nie czekałem długo, lecz tym razem ks. Radziwiłł nie zastał mnie.

Poznałem go wkrótce potem na jakiejś uroczystości. Patrzył trochę na mnie z góry, ale się tym nie przejmowałem i udawałem, że to mnie nie dotyczy. Wyglądał jak – rzeźnik. Był to typ pijaka niemającego żadnych hamulców moralnych do tego stopnia, że zapraszany w gościnę przez tamtejszych ziemian posuwał się nieraz do usiłowania gwałtu na gospodyni domu. Zdarzały się wypadki, że będąc w restauracji przepraszał towarzystwo i załatwiał się do najbliższej spluwaczki.

W powiecie stolińskim miał 160 000 ha obszaru ziemi w tym 2000 ha stawów rybnych. Szczególną troską otaczał rezerwat łosi, których w 1938 roku było około 70 sztuk. Za odstrzał łosia ks. Radziwiłł pobierał 2500 zł, pozostawiając myśliwemu łeb z rogami i skórę. Ks. Radziwiłł mało podróżował i raczej przebywał na miejscu. Pieniądże uzyskane z odstrzałów przeznaczał na wykwintne przyjęcia i dość często musiał prosić swoich dyrektorów o udzielenie mu pożyczek. Do zarządzania ordynacją miał pięciu dyrektorów. Naczelny dyrektor pobierał miesięcznie około 5000 zł, a pozostali około 2000 zł. Wśród nich dużą rolę odgrywał dyrektor lasów, wyrębem których zajmowali się kupcy żydowscy. Myślę, że ks. Radziwiłł czuł się przegrany i niepotrzebny, na niczym się praktycznie nie znał i niczym się nie interesował. Za niego robili i myśleli inni. Często chodziliśmy w niedzielę z żoną do jego kaplicy pałacowej na nabożeństwo. Starym zwyczajem przychodził na mszę ks. Radziwiłł z żoną i dwoma pannami. Wszystkie były ponad miarę wysokie, chude i o woskowych cerach oraz kilka pań z otoczenia lub rodziny.

Widziany był też przystojny, smukły, w elegancko skrojonym garniturze mężczyzna. Ów zwracał moją uwagę, gdyż z twarzy biła mu nieustraszona odwaga. Mimo że u boku zwisała mu bezwładna ręka i w oczodole błyszczało szkieleko to swoją postawą mógł imponować. Był to emerytowany generał angielski sir Carton de Viart. Był on w tym czasie stałym gościem ks. Radziwiłła. Widziano go całymi dniami beczynn timer samotnie wafęsajęcego się po okolicznych lasach, jak również całymi godzinami wpatzonego w

daleki horyzont zagranicznego wschodniego sąsiada i sędzę, że generał nie wypatrywał tam łosi.....!

Życie nasze zaczęło się dopiero jako tako kształtować, gdyż między rokiem 1934 a 1938 ciągle przenosiliśmy się z miasteczka do miasteczka. Pobierałem około 400 zł pensji a w maju tegoż roku urodził się nam syn Waclaw. W tymże samym miesiącu i roku dobiegła nas smutna wiadomość o śmierci mojego nieszczęsnego ojca /89 l./, o którym jak i o matce nigdy nie zapomniałem.

Wśród polskiego słońca, piasków i lasów żyło nam się dobrze. Jednakowoż tęskniliśmy wspólnie do ruchliwego i kulturalnego życia a ja podświadomie do dalszych wlotów. W ustawicznej wędrówce po Polesiu poznałem dobrze jego melancholijną przyrodę, dobrych i spokojnych jego mieszkańców, prymitywne na miarę jego mieszkańców zwyczaje oraz przepiękne zabytki. Nie miałem aparatu fotograficznego, by to wszystko co widziałem uwiecznić ani nie umiałem wziąć się za pióro, aby to wszystko co słyszałem uchronić od zapomnienia. Dziś muszę stwierdzić, że zmarnowałem tę okazję i ten okres bezpowrotnie.

Byłem w Merczowszczyźnie w miejscu urodzenia Tadeusza Kościuszki w dworku, do którego wiodła dróżka wysadzana polnymi gruszami. W Lubieszowie, w miasteczku położonym prawie w samym środku Polesia. Dokoła las i kurne chaty a na skraju miasteczka wśród prastarych lip stał ukryty wspaniały kościół Pijarów ufundowany przez królową Bonę. Na zmurszałych murach konwiktu znalazłem niewielką, nadgryzioną zębem czasu tablicę a na niej napis: „Tu kształcił swą duszę i umysł Tadeusz Kościuszko”. Długo oglądałem te drogie pamiątki i wydawało mi się, że pod ich patną żyje wielki duch Naczelnika. Jakże szczęśliwe są tamtejsze lipy, które oglądały Go żywego biegającego po okolicznym ogrodzie. W drewnianym Pińsku n. Prypecią jego rynek z zapachem dziegciu, potu końskiego i wszelkiego rodzaju śmiecia. Nad Stochodem i Horyniem, bobrowałem po jeziorach i bagnach, podziwiałem kopulaste cerkiewki i zabytkowe dworki, lecz nic nie pozostałem z tego dla społeczeństwa. Kąpałem się beztrudno w Hrywdzie i wielu innych czystych rzekach i jeziorach.

Wreszcie tę ciszę sielską zmaćił nam i zburzył na zawsze świst i huk spadających niemieckich bomb dnia 1 września 1939 roku. Cdn.

*Tadeusz Jóźków
Milicz*

Moje wspomnienia

Cz. II – rys historyczny i geograficzny miasta Chorostków oraz wsi Deryłozy, moja rodzina



*Przedwojenny herb
Chorostkowa*

Chorostków – miasteczko i dobra w dawnym województwie podolskim, nad rzeką Tajna; po roku 1921 w województwie tarnopolskim, powiat Husiatyn, od 1926 roku w powiecie Kopyczyńce. W latach 1918–1939 w granicach II Rzeczypospolitej Polskiej, obecnie w granicach Ukrainy, a w latach 1939–1991 w granicach ZSRR.

Do XVIII wieku Chorostków był częścią ogromnych dóbr Sanguszków, od których pod koniec tegoż stulecia odkupił wyłączony majątek hr. Józef Kolasaty Lewicki. Z jego fundacji wzniesiono rodową kaplicę cmentarną, w której kryptach spoczęły prochy byłych właścicieli Chorostkowa, cerkiew greckokatolicką (1837) oraz kościół rzymskokatolicki (1854).

Hrabia Józef Kolasaty Lewicki ustanowił ordynację. Za jego panowania w Chorostkowie powstał klasycystyczny pałac z oficyną, który przetrwał do 1945 roku. Poprzez małżeństwo hr. Wilhelma Stanisława Siemieńskiego z jedyną córką Lewickich, dla zachowania ordynacji hr. Siemieński przyjął nazwisko żony, zachowując swoje, podpisując się jako „Lewicki-Siemieński”.

Jako ciekawostkę podaję, że za czasów austriackich u hrabiego w Chorostkowie jako gorzelnik pracował Ormianin o nazwisku Isakiewicz (Osakowicz), który był ożeniony z Marią Czerwicką z Chorostkowa obrządku rzymskokatolickiego. Mieszkali w nowym domu przy gorzelnii. Ich wnuczka to Stanisława Fleszarowa-Muskat. Idąc dalej tropem tego nazwiska stwierdziłem, że Isakowicz, Ormianin ze Lwowa, był arcybiskupem obrządku ormiańskiego Kościoła katolickiego we Lwowie. Był on poprzednikiem arcybiskupa Teodorowicza.

Proboszczem obrządku rzymskokatolickiego do roku 1927 był ks. kanonik Kazimierz Głowiński – uczestnik powstania, ale jakiego to nie udało się mi ustalić.

Pierwsze wzmianki o Chorostkowie pochodzą z 1564 roku.

Na rynku w Chorostkowie stał ratusz z dwiema wieżami, który został zniszczony za okupacji hitlerowskiej jako własność żydowska.



Chorostków – ratusz

Chorostków to siedziba gminy wiejskiej i parafii obu obrządków. To miejsce urodzenia i wychowania moich Rodziców: Zofii z d. Citków i Franciszka Józków, którzy ślub brali 31 stycznia 1926 roku. Jak z tego wynika, jeszcze za ks. kan. Kazimierza Głowińskiego.

10 sierpnia 1926 roku, sześć miesięcy po ślubie, mój Ojciec na cztery lata wyjeżdża do Kanady na dorobek. Mama, jako synowa, pozostaje na ojcowiznie Józkówych, wraz z pięciorgiem rodzeństwa mego Ojca, a swego męża.

Po powrocie Ojca z Kanady jesienią 1930 roku, Rodzice w kwietniu 1931 roku przeprowadzają się do Deryłoz (gmina i parafia rzymskokatolicka Horodnica), około 8 kilometrów na wschód od Chorostkowa, obok Celejowa (gmina Wasylkowce).

W roku 1931 Chorostków miał 6924 mieszkańców po równej części: Polaków, Ukraińców i Żydów. Według oficjalnych danych banderowcy w latach 1944–1947 zamordowali około 50 Polaków, w tym stryjecznego brata mego Ojca z żoną.

Agnieszka i Roman Józków zostali zamordowani w 1947 roku, ponieważ nie wyjechali na zachód. Starsza córka Anna Romana Józków (ur. w 1915 roku, syn Mikołaja, wnuk Teodora, prawnuk Mikołaja) wyjechała na zachód po 1956 roku i mieszka obecnie w Małomicach koło Szprotawy. Młodsza – Czesława pozostała w Chorostkowie.

Chorostkowscy Żydzi prawie wszyscy zostali zlikwidowani przez hitlerowców i ukraińską policję w latach 1941–1943.

Jak wynika ze schematyizmu Archidiecezji Lwowskiej na rok 1939, proboszczem parafii rzymskokatolickiej pw. św. Michała Archanioła w latach 1927–1945 w Chorostkowie był ks. kan. Jan Gorczyca. Do parafii Chorostków należały następujące miejscowości: Chorostków, Howiłów Wielki (z kościołem filialnym pw. św. Zofii, konsekrowanym w 1912 roku), Howiłów Mały; Karaszyńce; Miłów; Peremiłów, Uwista z kaplicą, w której była odprawiana Msza Święta w każdą niedzielę i święta, Zofiówka oraz Chłopówka.

Poprzednikiem ks. kan. Jana Gorzycy był ks. kan. Kazimierz Głowiński, który został pochowany na cmentarzu parafialnym w Chorostkowie.

Ks. kan. Jan Gorzyca (ur. w 1884 roku) święcenia kapłańskie otrzymał w 1909 roku we Lwowie z rąk abp. Józefa Wilczewskiego. Parafię w Chorostkowie objął po śmierci ks. kan. Kazimierza Głowińskiego w 1926 roku. Z Chorostkowa wyjechał 29 września 1945 roku i zamieszkał w obecnym województwie kujawsko-pomorskim w parafii Grzegorz (pow. Toruń, woj. bydgoskie). Został pochowany na cmentarzu parafialnym w Grzegorzu.

Ks. wikary Zdzisław Semenem (ur. w 1911 roku) święcenia kapłańskie otrzymał w 1938 roku we Lwowie z rąk abp. Bolesława Twardowskiego. Do Chorostkowa przybył w 1938 roku. Po 1945 roku znalazł się na Dolnym Śląsku, m.in. w Gierałtowie.

Ks. katecheta Jan Potępa (ur. w 1906 roku) święcenia kapłańskie otrzymał w 1937 roku we Lwowie z rąk abp. Bolesława Twardowskiego. Do Chorostkowa przybył w 1939 roku. Po 1945 roku na Dolnym Śląsku, m.in. w Strzegomiu.

W okresie wojennym schematyzmy Archidiecezji Lwowskiej obrządku rzymskokatolickiego nie były wydawane, dlatego trudno jest mi wypowiedzieć się o innych księżach, którzy w latach 1939–1945 pracowali w parafii Chorostków. Pozostali księża, na których natrafiłem podczas moich poszukiwań, to: ks. wikary Adler; Kośmider; Jan Jestad (Jestadt) – po 1945 roku w Diecezji Warmińskiej i Edward Koryl – po 1945 roku w Diecezji Gorzowskiej oraz ks. Lebedziński.

Parafia Chorostków pw. św. Michała Archaniola należała do dekanatu Trembowla, gdzie pracowały również siostry zakonne ze Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP Prowincji Krakowskiej. W samym Chorostkowie według schematyzmu organizacyjnego Archidiecezji Lwowskiej z 1939 roku w Chorostkowie pracowały dwie zakonnice: siostra Katarzyna Hildegarda Leszek jako przełożona (z Chorostkowa wyjechała 12 lipca 1943 roku do domu generalnego w Starej Wsi k. Brzozowa, gdzie zmarła 19 kwietnia 1950 roku). Imienia pozostałych zakonnice z Chorostkowa nie ustaliłem z

uwagi na niekompletne dokumenty, które znajdują się w Archiwum Zgromadzenia Sióstr Służebniczek. Przed kościołem obrządku rzymskokatolickiego w Chorostkowie w 1936 roku została postawiona figura Matki Bożej Królowej Polski z napisem: „Królowo Korony Polskiej, Módl się za nami”. Została zniszczona wraz z kościołem przez miejscowych Ukraińców po 1945 roku.

Ostatnim ordynatem w Chorostkowie był Jan Stanisław Siemieński-Lewicki. Po wkroczeniu wojsk radzieckich do Chorostkowa, a była to niedziela, został aresztowany, ale podobno na prośbę chorostkowskich Ukraińców zwolniono go i pozwolono mu wraz z całą rodziną wyjechać do Lwowa, a następnie na zachód.

Deryłozy to dawny dwór książąt Jabłonowskich, ordynacji Jabłonów, gm. i par. rzymskokatolicka Horodnica, 2 kilometry na północ od Celejowa (gm. Wasylkowce, pow. Kopyczyńce), od Horodnicy na zachód około 8 kilometrów. Dwór Deryłozy podczas pierwszej wojny światowej został doszczętnie zniszczony, po 1922 roku rozparcelowany w całości, a po roku 1945 Deryłozy zniknęły w całości z powierzchni ziemi. To miejsce mego urodzenia i zamieszkania do 4 września 1944 roku, dwukrotnie spalone. Po raz pierwszy w drugiej połowie marca 1944 roku. Spalono wtedy trzy polskie zabudowania: moich Rodziców, Stroblów i Podhorodeckich. Nikt nie zginął. Podczas drugiego podpalenia Deryłoz 4 września 1944 roku zamordowano jedną osobę – Michała Sokołowskiego, Polaka z Mazurówki. Był on maszynistą młocarni.

Na zachód z Deryłoz wyjechało 15 Polaków. Pierwotnie zamieszkali na Dolnym Śląsku (w Dłużewie, późniejszej Czernicy koło Jeleniej Góry). Byli to moi Rodzice i rodzina Stroblów.

W Deryłozach po zabudowaniach dworskich pozostały tylko dwa budynki. Jeden z nich, z drugiej ręki, kupili moi Rodzice, wraz z 11 morgami ziemi ornej, 95 arów łąki i około 2 morgów sadu z podwórzem, czyli około 15 mórg ziemi łącznie. To było bardzo dużo, jak na tamte czasy. Tym budynkiem był dom mieszkalny, w którym po remoncie mieszkaliśmy do marca 1944 roku.

W latach 1931–1944 Deryłozy zamieszkiwało sześć rodzin, w tym trzy polskie, jedna ukraińska, ale polskiego pochodzenia. Ich

przodkowie to Polacy, którzy z konieczności ochrzcili swoje dzieci w obrządku greckokatolickim. Pozostałe dwie to rodziny mieszane: jedna propolska, druga proukraińska. W pierwszym przypadku – kobieta Ukrainka, w drugim mężczyzna Ukrainiec i to bardzo wrogo nastawiony do Polaków.

Wymienione rodziny przeprowadziły się do Deryłoz pod koniec lat 20. z Chorostkowa i Chłopówki, z tym że moi Rodzice w 1931 roku z nadzieją na lepsze życie. Sielanka trwała zbyt krótko i zakończyła się tragicznie w 1944 roku, nie tylko dla Polaków.

Nikt z Polaków zamieszkałych na Podolu nawet przez chwilę nie domyślał się, że przyjdzie im w 1945 roku opuścić te tereny na zawsze, czego przykładem jest rozpoczęta budowa domu mieszkalnego przez rodzinę Zofii i Michała Stroblów w latach 1942–1943.

Deryłozy to teren falisty, leżące u podnóża gór Miodobory i usytuowane bardzo blisko rzeki granicznej Zbrucz (około 15–18 kilometrów na zachód).

Chłopówka i Uwisła należały do gminy i parafii rzymskokatolickiej Chorostków, bo greckokatolicka była w Chłopówce, pomimo że 60% mieszkańców to byli Polacy, z tym że w Uwisle była kaplica należąca do parafii rzymskokatolickiej pw. św. Michała Archanioła w Chorostkowie oraz ochronka prowadzona przez siostry zakonne Zgromadzenia Sióstr Służebniczek NMP. Tam też Polacy z Deryłoz każdej niedzieli i w święta jeździli na Mszę Świętą, bo do Uwisły było najbliżej. Sprawowali ją księża z Chorostkowa. Proboszczem w tym czasie był ks. Jan Gorczyca. Ponadto od maja do września w ochronce w Uwisle przebywała moja starsza siostra – Czesława, przygotowując się do przyjęcia Pierwszej Komunii Świętej, co nastąpiło 8 września z rąk ks. kan. Jana Gorzycy, czyli w cztery dni po drugim spaleniu Deryłoz.

Z Chorostkowa do Deryłoz można było jechać przez Chłopówkę i Uwisłę (w Uwisle w połowie drogi skręcało się w lewo w kierunku Horodnicy) albo przez Celejów, jadąc z Uwisły przez Michałki, Mazurówkę do Celejowa, a z Celejowa na północ w kierunku Soroki, do Deryłoz.

Celowo opisałem usytuowanie Chorostkowa, Chłopówki, Celejowa, Deryłoz, Horodnicy i Uwisły, bo te miejscowości są związane z tym, co się działo w Deryłozach, a zwłaszcza w 1944 roku, a co ma bezpośredni związek z moim życiorysem i moimi przeżyciami, czyli z moim wojennym przedszkolem, początkowym nauczaniem i wychowaniem, aż do wyjazdu na zachód jesienią 1945 roku z Chorostkowa.

Moja rodzina: moi Rodzice – Zofia z d. Citków i Franciszek Józków – urodzeni i wychowani w Chorostkowie (pow. Kopyczyńce, woj. Tarnopol), pobrali się 31 stycznia 1926 roku. 10 sierpnia 1926 roku Ojciec, za zgodą swojej żony, a mojej Mamy, na cztery lata wyjechał do Kanady w celach zarobkowych. Wcześniej, bo w latach 1923–1925 odbył zasadniczą służbę wojskową w 41. Pułku Artylerii Ciężkiej we Lwowie przy ul. Teatyńskiej, niedaleko Kopca Unii Lubelskiej, usypanego na Wzgórzu Zamkowym.

Po powrocie Ojca z Kanady moi Rodzice, w kwietniu 1931 roku, przeprowadzają się z Chorostkowa do Deryłoz, około 8 kilometrów na południowy wschód w kierunku Horodnicy, jadąc przez Chłopówkę i Uwisłę.

Rodzice przeprowadzając się do Deryłoz, zabrali ze sobą najmłodszego brata Mamy – Stanisława, lat 17, sierotę od czwartego roku życia (moja Mama była sierotą od 10 roku życia), który w Deryłozach mieszkał do 1935 roku. Gospodarstwo rolne kupione przez moich Rodziców rozciągało się pomiędzy dwiema górami: północnej w kierunku Soroki (gm. Chorostków) i południowej w kierunku Celejowa (gm. Wasylkowce, pow. Kopyczyńce). Od strony zachodniej pole moich Rodziców graniczyło z polem wsi Mazurówka (sołectwo Celejów), a od wschodu widać było wieś Samołuśkowce (gm. Horodnica – tej samej co Deryłozy). Od strony zachodniej w kierunku Chorostkowa leżała wieś Uwisła, w której znajdowała się kaplica rzymskokatolicka. Dalej w kierunku Chorostkowa była wieś Chłopówka, z której pochodziły moje obie Babcie: po Ojcu Irena Romaniszyn, po Mamie Józefa Wojtowicz.

Natomiast najstarszy brat mojej Mamy – Michał (ur. w 1899 roku) był legionistą, walczył w obronie Lwowa przed Ukraińcami w

latach 1918–1919 oraz w wojnie polsko-bolszewickiej w 1920 roku. W latach międzywojennych był wojskowym zawodowym w 40. Pułku Piechoty we Lwowie przy ul. Grunwaldzkiej. Do służby zawodowej wstąpił po 1926 roku, bo jego jedyna córka urodziła się w 1925 roku, jeszcze w Suchostawie (pow. Kopyczyńce), koło Jabłonna. Brał też udział w wojnie obronnej 1939 roku.

A tak przy okazji – w wojnie obronnej 1939 roku z rodziny mojej brali udział: ze strony Mamy bracia Michał, Józef i Stanisław z Chorostkowa, chociaż Józef mieszkał w tym czasie na stałe w Warszawie, oraz kuzyni Michał i Jan Wojtowicz z Chłopówki. Ze strony Ojca brat Stanisław oraz szwagier, czyli mąż rodzonej siostry Anastazji, Jan Woronczak. On też dostał się do niewoli niemieckiej. W Armii Andersa walczyli Piotr Józków, syn Wojciecha, wnuk Teodora (po wojnie w Kanadzie, ale najpierw był w Armii Czerwonej) oraz Stanisław, też syn Wojciecha, ale wnuk Piotra, zginął pod Monte Cassino, też chyba powołany w 1940 roku do Armii Czerwonej, bo Piotr i Stanisław to rocznik 1919.

Michał Citków po powrocie z wojny obronnej 1939 roku ukrywał się we Lwowie, następnie wyjechał do Krakowa, ale kiedy – tego nie wiem. Był chyba w Armii Krajowej. Zmarł w 1957 roku w Krakowie i spoczywa na Cmentarzu Rakowickim.

Bruno Brożyniak

Wrocław

Dzieciaki na wojnie (wspomnienia czortkowanina)

Cz. I



***Bruno Brożyniak** (19 X 1932 – 13 III 2019) urodził się w Czortkowie. Po wojnie był wieloletnim dziennikarzem wrocławskiego dziennika „Słowo Polskie”. Był również literatem. Jego pierwszy utwór prozatorski ukazał się w almanachu „Dojrzewające słowa” wydanym w 1958 roku przez Ossolineum.*

To samo wydawnictwo opublikowało też jego reportaż (napisany z Wiesławem Pruskiem) „Spotkanie z Algierią”. Był także satyrykiem – zbiór „Podszczyпки” miał dwa wydania. W roku 2008 ukazały się jego wspomnienia z rodzinnego Czortkowa – „Dzieciaki na wojnie”, których druk w odcinkach rozpoczynamy od bieżącego numeru.

Rozdział I

Tornister i bagnety

Cieszył moje dziecięce oczka bajecznymi kolorami, miał przepastne kieszonki, ozdobne sprzączki, paski z prawdziwej skóry. Obok tornistra szkolny ekwipunek uzupełniał równie tęczyowy piórnik. A do tego granatowe spodenki i biała koszulka. Młodszy braciśzek patrzył na mnie z podziwem, a uśmiechnięci rodzice: mama, zgrabna brunetka o jasnoszarych oczach, wyrazistej urodzie podolskiej krasawicy, i tata, korpulentny, nabity w sobie mężczyzna niedużego wzrostu, zgodnie orzekli, że wyglądam wspaniale. Tata się rozmarzył:

– Jak się będziesz dobrze uczył, to może zostaniesz adwokatem? Będą koszty nauki, to sprzedamy kawałek pola.

– Tylko nie pola! – obruszyła się mama i spojrzała groźnie na tatę. – Lepiej, żeby został lekarzem. Doktor to dopiero jest panisko! Siedzi sobie w gabinecie, a do poczekalni tup-tup z chorymi przychodzą pieniądze.

Były ostatnie dni sierpnia 1939 roku. O wojnie, wojsku, różnego rodzaju uzbrojeniu sporo się w domu mówiło, ale tak jakoś mimochodem. Z mundurem i bronią byłem od najmłodszych lat oswojony. Tata był podoficerem batalionu Korpusu Ochrony Pogranicza w Czortkowie, systematycznie awansował, aż doszedł do stopnia starszego sierżanta. Tuż przed wojną dowodził oddziałem ciężkich karabinów maszynowych, a także ćwiczył z żołnierzami obsługę działek przeciwpancernych. Miałem trzy, może cztery lata, gdy tata wziął mnie na pobliskie manewry i żołnierze pozwolili mi puścić serię ślepekami; przy okazji objaśnili, dlaczego ckm ma tak grubą lufę – chłodnicę.

Nasz dom, pobielony na biało, kryty gontem, z dwoma gan-
kami – ozdobnym od ulicy i sienią od podwórza, z budynkami go-
spodarczymi, otoczony z trzech stron rozległym ogrodem i sadem,
w którym królowały rozłożyste wiśnie i czereśnie, leżał kilkaset
metrów od koszar KOP-u. Urodzajne wiśnie i czereśnie spełniły
rolę swatki – mama, będąc panienką, wynosiła przed koszary świe-
żo zerwane owoce, dorodna dziewczyna wpadła w oko tacie i szyb-
ko doszło do ślubu. Na mamę zdrobniale mówiono Jańcia. Imiona
jej trzech starszych sióstr także brzmiały miękko i kresowo: Andzia,
Cesia i Maryńcia. Tata był po prostu Jankiem. Babcia, szczuplutka,
siwa, w długich spódnicach do kostek, miała na imię Antonina z
domu Bednarska, dziadek – Maciej Urban – umarł parę lat przed
moim urodzeniem. Tylko niespełna roczek żył mój starszy braci-
szek. Umarł na zapalenie płuc, lekarz kazał dziecko w wysokiej
gorączce schładzać zimnymi kompresami. Moje oficjalne imię ro-
dzina trochę skróciła, zwano mnie Runkiem, a jak byłem grzeczny –
Runusiem albo Ruńciem. Młodszy braciszek Bogusław zwany był
Bogusiem.

Na kilka lat przed wojną żyło się nam bardzo dobrze, można
nawet rzec, iż po pańsku. Mieliśmy dwa źródła dochodów. Podsta-
wowe produkty żywnościowe pochodziły z ogrodu i sadu, do tego
dochodziło stadko kur oraz krowa. Kilka hektarów pola szło na wy-
najem. Tata po awansie na starszego sierżanta zarabiał ponad trzy-
sta złotych miesięcznie. Wszystko to pozwoliło na remont domu,
budowę murowanego spichlerza z betonową piwnicą niczym bun-
kier. Do cięższych prac w gospodarstwie był zatrudniony sympat-
yczny pomocnik Mychajło. Po narodzinach braciszka mamie w
domu pomagała służąca, której płacono dwadzieścia złotych mie-
sięcznie. Jako jedyjni w okolicy sprawiliśmy sobie radio. Ileż było
uciechy, kiedy Szczepcio i Tońcio nadawali swoje lwowskie popi-
sy!

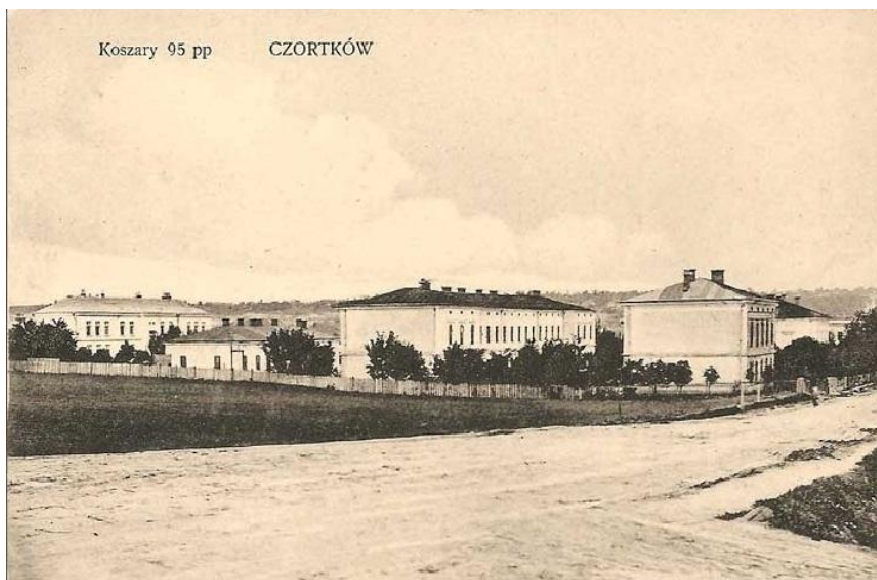
Naszymi najbliższymi sąsiadami była rodzina Rokocińskich,
z którymi mieliśmy wspólną studnię. Troszkę powyżej nas mieszka-
ła z córką dziwna pani Krzyżanowska, która twierdziła, iż jest hra-
biną wypędzoną przez bolszewików spod Żytomierza. Sławna była

z tego, iż na swoim ogródku nie pozwalała rozrzucić obornika, bo twierdziła, że nie będzie jeść warzyw hodowanych na gównie. Przez to plony na grządkach miała gówniane – pietruszkę i marchewkę niczym patyczki. Tuż przez drogę mieszkała rodzina Ukraińca – Władysława Błyszczaka, z którą byliśmy najbardziej zaprzyjaźnieni. Ich córeczka Danusia była stałą, najlepszą towarzyszką zabaw mojego braciszka Bogusia. Któż to wie, gdyby nie nasza repatriacja, może doszłoby do kolejnego małżeństwa polsko-ukraińskiego, których w Czortkowie było sporo?

Rodzice naszego ukraińskiego sąsiada z synem Staszkiem i córką Olgą mieszkali kilkaset metrów dalej, przy szosie na Zaleszczyki. Nestor tej rodziny był człowiekiem zamożnym – zarobił sporo dolarów w Ameryce, za które kupił wiele hektarów ziemi i wybudował dom synowi Władkowi. Mieliśmy także zaprzyjaźnioną rodzinę Ukraińca Petra Pañkiwa, który mieszkał w Starej Jagielnicy.

Nieraz znajomi Ukraińcy przychodzili posłuchać radiowych audycji w swoim rodzimym języku. Do dziś wspominam pyszny smak pierogów z farszem z ziemniaków, świeżego twarogu, polanych skwarkami, a do tego porcja kwaśnej śmietanki, którymi częstowała sąsiadka – żona Władysława Błyszczaka. (Nawiasem mówiąc, pierogi ruskie kojarzymy u nas z Rosjanami, a moim zdaniem są to pierogi ukraińskie, wywodzące się z Rusi, wszak Ukraińców nazywano dawniej Rusinami, a do dziś istnieje kraina – Ruś Zakarpaska).

Bliskość koszar powodowała, iż często było u nas zielono od mundurów. Na żołnierskich pogawędkach w sadzie lub w domu wielce ufano naszym sojuszom z Anglią i Francją, Hitler, wzięty w dwa ognie, szybko dostanie w dupę, a bolszewicy, jak im przyłał Piłsudski, nie odważą się nas zaatakować. Portret Piłsudskiego, pięknie wyhaftowany, wisiał u nas w domu na honorowym miejscu i dodawał poczucia pełnego bezpieczeństwa. Tata, gdy włożył wyjściowy mundur, przypasał kaburę z pistoletem i paradną szablę, też jawił mi się jak marszałek, tylko mu maciejówki brakowało.



Czortków - koszary 95 pułku piechoty (rezerwowego)

W słoneczny poranek, odpicowany na małego eleganta, ruszyłem z mamą do szkoły, do której miałem ze dwa kilometry drepnięcia w dół, bo Czortków rozłożył się tarasowato w głębokiej dolinie Seretu. Najlepiej powiatowe, mniej więcej dwudziestotysięczne miasto, które dzieciakowi jawiło się wielką metropolią, można było oglądać zza rzeki, z Górnej Wygnanki. A więc budynki różnych urzędów, w tym ratusz, gotycki, strzelisty kościół, zabytkową cerkiew, bóżnicę, trochę jakby turecki w wyglądzie bazar z rzędami jatek i sklepików oraz ruiny potężnego zamku. Z zapartym tchem słuchałem gawęd babci Antoniny, mamy, ciotek i wujków o burzliwych dziejach grodu nad Seretem. O tym, że swą nazwę zawdzięcza Czartkowiczom herbu Korab, którzy w XV wieku zamieszkali nad Seretem, że podobnie jak całe Podole, gród był wielokrotnie napadany i plądrowany, że w XVII wieku z dwustu domów zostało się po pożarze tylko kilkadziesiąt. Podolską osadę wielokrotnie najeżdżali Tatarzy i Turcy, a po pokoju buczackim przez parę lat w

Czortkowie rezydował turecki subpasza. W czasie powstania Chmielnickiego toczyły się w Czortkowie ciężkie walki o zamek. Z rozdziawioną buzią słuchałem opowieści o tym, że w naszym mieście gościł król Jan Kazimierz, a także Jan Sobieski, którego podejmował kolejny właściciel grodu – hetman Andrzej Potocki. W takim oto podolskim mieście zgodnie mieszkali obok siebie Polacy, Ukraińcy i Żydzi. Wśród tych ostatnich ciekawość nas, dzieciaków, budzili pejsaci osobnicy odziani w czarne chałaty.

A teraz, z przejściem ściskając rękę mamci, wkraczałem do szkoły, która ze swymi szerokimi korytarzami, przestronnymi klasami, pachnącymi po wakacyjnym remoncie świeżymi farbami, jawiła mi się jak pałac. Pani w naszej klasie była młoda, śliczna jak księżniczka, dzieciaki wesole, po prostu rozćwierkane wróbelki, więc trema pierwszoklasisty szybko minęła. W drodze powrotnej też mamie radośnie ćwierkałem. Gdy tata przyszedł z koszar, chciałem mu wszystko szczegółowo opowiedzieć, ale opędał się przede mną, jak przed natrętną muchą, a w końcu burknął:

– Dosyć tego! Wojna wybuchła, Hitler napadł na nas!

– Wojna? Jaka wojna? Przecież w Czortkowie było cicho, słonecznie, bo lato tego roku należało do bardzo pogodnych.

– Macie chłopaki słuchać mamy, bo ja lada chwila, a najpewniej w nocy, jadę na front. W dzień nie można, bo niemieckie samoloty strasznie bombardują.

Pierwszy tydzień wojny minął w Czortkowie zadziwiająco spokojnie. Tata którejś nocy zniknął, w koszarach zostało niewiele wojska. Dorośli słuchali z napięciem radiowych komunikatów, ja ochoczo dreptałem do szkoły. W drugim tygodniu września na szosie w stronę Zaleszczyk, która była oddalona od naszego domu jakieś czterysta metrów, zaczęli się pojawiać coraz bardziej liczni uchodźcy z centralnej Polski. Bogaci jechali autami, biedniejsi na furmankach, rowerach, niektórzy ciągnęli podręczne wózki. Najpierw były to małe grupki, a potem ciągnął się korowód bez końca.

Któregoś dnia na pobliskim ściernisku z rykiem wylądował mały samolot. Szybko pobiegłem w tamtą stronę. Pilot, młody chłopak o szarej ze zmęczenia twarzy, zagadnął:

– Słuchaj, mały, gdzie tu można kupić trochę benzyny? Chociaż z dziesięć, przynajmniej pięć litrów... Kto tutaj ma auto?

– Tu nikt nie ma auta – odparłem skonfundowany, że nie mogę pomóc. – Trzeba iść do miasta!

– Może pan chce kwaśnego mleka z piwnicy albo co zjeść? – spytałem.

– W samolocie mam pełno kanapek. Daj mi wody!

Podąłem mu świeżą wodę z naszej głębokiej studni.

– Świetna, chłodna, jak ze źródła! – pochwalił i wypił łączywie kilka kubków, a potem ruszył na zaleszczycką szosę. Rano samolotu nie było, więc gdzieś zdobył tę kapkę benzyny.

Chociaż minęła pierwsza połowa września, nadal było bardzo ciepło, wręcz upalnie. Straciłem apetyt, w szkole nie zjadłem kanapek. Po lekcjach wraz z kilkoma uczniakami zacząłem w tym upale drapać się pod górę. Nagle zobaczyliśmy kolumnę żołnierzy.

– O, nasi idą bić Niemców! – krzyknął uradowany któryś z uczniaków.

Gdy kolumna podeszła bliżej, nogi się pode mną ugięły. To byli nasi żołnierze wzięci do niewoli przez Sowietów. Szli znużeni, ze spuszczonej głowami, jakby zawstydzeni swym bezradnym stanem. Z obu stron kolumny maszerowali sowieccy żołnierze z karabinami, na których nadziane były długie igły bagnetów. Jeden z jeńców, młody blondynek, spojrzał na mnie tak jakoś prosząco. W odruchu serca zdjąłem tornister i podbiegłem do niego z kanapką. Nagle ruszył w moją stronę ponury skośnooki żołdat z wyciągniętym karabinem. Ze strachu potknąłem się i w ostatniej chwili zasłoniłem przed bagnetem tornisterem. Ostrze bagnetu oparło się na nim, jak na tarczy. Skądś wyłonił się ruski oficer. Wrzasnął do żołdaty:

– Stupaj nazad! – A mnie zapytał:

– A ty szto, toż w plen chcesz?

– Ja kanapkę, no... chleb chciałem...

– Nielzia, idi domoj do mamasy!

Dopiero w domu obejrzałem dokładnie tornister. Został na nim ślad po bagnecie. Mój ekwipunek szkolny był nie tylko piękny, ale i solidny. A pod wieczór czekała nas następna niespodzianka.

Wpadli do nas żołdaci. Ich dowódca, który przedstawił się jako lejtnant i pokazał swe służbowe oznaczenia na kołnierzu bluzy, radośnie nam oznajmił:

– Nu, my was oswobodili!

– A od kogo? – spytała babcia.

– Od burżujew. Siejczas budiet u was swobodnaja strana.

Był to jeden z oddziałów, który na szosie zaleszczyckiej zablokował pochód uciekinierów z głębi Polski. Żołnierze bez skrpułów powybiali im z walizek i tobołów co lepsze rzeczy, które u nas sobie oglądali. Ot, po prostu trofea wojenne, czyli prawo silniejszego. Gdy wyczuli naszą dezaprobatę, ich dowódca wyjął nagle mały, damski pistolecik i rzekł:

– Smotritie, u nich było orużje!

Żołnierze wkrótce odeszli, a w domu zapanowała grobowa cisza. Mój mały braciszek krążył od mamy do babci, która nagle wymamrotała ni do nas, ni do siebie:

– Chyba ta Polska od nas odeszła...

Wziąłem swój tornister i bez słowa wpatrywałem się w ślad po bagnecie. W nocy przeżyłem wielki wstyd, bo po przygodzie z bagnetem zsiakałem się do łóżka. Cdn.

Zbigniew Żyromski

Wrocław

Zwyczaje ludności kresowej na Podolu Cz. III sierpień - wrzesień

Święto Wniebowzięcia Najświętszej Marii Panny, obchodzone 15 sierpnia, nazywano też świętem Matki Bożej Zielnej, ponieważ w tym dniu święcono kwiaty i ziele w postaci bukietów i wianków. Swój rodowód to święto wywodzi raczej z religii Wschodu. W Odessie byłem świadkiem obchodów tej uroczystości przez wiernych trzech religii: w polskim kościele katolickim oraz cerkwiach – prawosławnej i greckokatolickiej. Na ogół obrządek był

podobny, z małymi tylko różnicami. Do święcenia przynoszono kwiaty i ziele głównie z pól i łąk. Nie widziałem, by były to kwiaty szlachetne. Ponadto przynoszono dużą ilość owoców, nawet całe wiadra. Kościoły i cerkwie w godzinach rannych były szczelnie zapełnione, choć były to lata siedemdziesiąte. Tradycją jest, że każdy uczestnik tej uroczystości winien mieć coś ze sobą. Zdarzyło się, że gdy zauważono w kościele, że jestem z pustymi rękami, zostałem obdarowany owocami. Różnica polegała na sposobie sprawowania obrządku w poszczególnych świątyniach. W kościele katolickim św. Pawła uroczystość ta trwała ponad dwie godziny, a kończyła się poświęceniem ziół, kwiatów i owoców. W cerkwi było to ciągle kropienie – wierni ustawiali się wokół cerkwi z przyniesionymi darami, a pop czy batiuszka, jak go tu często nazywano, chodził dookoła z dużą wiązką gałęzi z listowiem i bardzo obficie polewał wiernych i dary wodą z wiadra. Nieraz budziło to wesołość, gdy wierni zostali nadmiernie zmoczeni. Obyczaj święcenia ziół i kwiatów w innych częściach Polski był raczej niestosowany.

4 września odbywały się lokalne uroczystości odpustowe ku czci św. Rozalii – patronki ofiar zarazy i trzęsienia ziemi. W sensie duchowym było to odpuszczenie kary za doczesne grzechy. Podczas odpustu na przykościelnym placu gromadziło się bardzo dużo wiernych z okolicznych miasteczek i wsi. Przyjeżdżało również wielu księży, którzy odprawiali oddzielne msze, uczestniczyli w głównej odpustowej mszy świętej zwanej sumą oraz spowiadali wiernych. Z powodu długiej kolejki chętnych do spowiedzi, wokół kościoła ustawione były przenośne konfesjonały. Suma rozpoczynała się o godzinie jedenastej, zaś pod jej koniec wyruszała procesja wokół kościoła i poświęcano zakupione dewocjonaalia. Odpustowi towarzyszył kiermasz, na którym oprócz dewocjonaaliów sprzedawano zabawki i słodycze. Stoiska odpustowe ustawiano wokół kościoła oraz wzdłuż przyległej uliczki. Oczywiście największą uciechę miały dzieci, które namawiały rodziców do zakupu zabawek – trąbek, fujarek i gwizdków – oraz kolorowych ciastek, precelków na sznurku i innych słodyczy. Nie do pomyślenia było, żeby wrócić z odpustu z pustymi rękami. Było kolorowo, gwarnie i wesoło.

Oprócz chwil wesołych bywały też i smutne. Akt narodzin, uwieńczony chrzciniem, dawał rodzinie wiele radości i zadowolenia, ale zgon członka rodziny przynosił żal i żalobę. Uroczystości pogrzebowe rozpoczynały się zawsze w domu rodzinnym zmarłego, ponieważ na cmentarzu nie było kaplicy. Na Kresach, a w małych miastach szczególnie, kaplice takie na ogół nie były znane (w Monasterzyskach była tylko jedna kaplica grobowa). Katafalk ze zmarłym w trumnie ustawiano na środku pokoju, a wokół ustawione były krzesła i ławki dla odwiedzających gości. Przez cały czas płonęły świece. Zwyczajowo zasłaniano lustra w mieszkaniu, a zegar zatrzymywano na godzinie zgonu. Rodzina i znajomi odmawiali modlitwę, stanowiącą hołd zmarłemu, po czym zwykle wspominali fakty z jego życia. Przy zmarłym członkowie rodziny i znajomi czuwali w dzień i w nocy, zaś w południe i o północy odmawiano Anioł Pański. Jeśli zgromadzonych było więcej, odmawiano zbiorowo modlitwy. Pogrzeb odbywał się zazwyczaj w trzecim dniu. Do domu przybywał ksiądz i odmawiał modlitwy razem z żałobnikami. Następnie wszyscy uczestnicy wraz z księdzem opuszczali dom, wynoszono trumnę i ustawiał się kondukt pogrzebowy. Było zwyczajem, że nad ostatnim progiem trumnę trzykrotnie podnoszono i opuszczano. Na czele pochodu mężczyzna niósł krzyż, za nim niesiono dwie zapalone latarnie, a następnie dwie żałobne chorągwie. Za nimi szedł ksiądz ubrany w czarną kapę i organista. Trumnę niosło czterech mężczyzn. Gdy pogrzeb był szczególnie uroczysty, trumnę wieziono karawanem zaprzężonym w parę koni ciemnej maści. Uczestnicy konduktu wraz z księdzem i organistą cały czas śpiewali pieśni żałobne lub odmawiali modlitwy. Podczas pogrzebów szczególnie uroczystych, gdy chowano np. członka władz miejskich, w obchodach uczestniczyła także fabryczna orkiestra dęta.

Po wkroczeniu do kościoła trumnę ustawiano na katafalku, wokół niej zapalano sześć świec, a ksiądz odprawiał egzekwie lub odprawiano żałobną mszę świętą. Przed udaniem się na cmentarz trumnę wynoszoną z kościoła znów w drzwiach trzykrotnie podnoszono i opuszczano. Przy wykopanym grobie ksiądz odmawiał

ostatnie modlitwy, wzywał do pomodlenia się za zmarłego, po czym kropił trumnę i wrzucał pierwszą łopatę ziemi. Cdn.

Janina Kwiatkowska z d. Popławska
Gdynia

Moje wspomnienia

Tarnopol, Mikuliczyn, Worochta

Mieszkałam z rodzicami i dwoma siostrami w Tarnopolu. Mimo dobrego powietrza rodzice uważali, że dla zdrowia należy zmieniać klimat. Dlatego też wyjeżdżaliśmy kilkakrotnie na małowniczą Huculszczyznę na Podkarpacie w Beskidzie Wschodnim do Mikuliczyna. Ostatni nasz pobyt w czasie wakacji był w miejscowości Worochta.

Pamiętam, że w Mikuliczynie rodzice wynajmowali domek u gospodarza Werediuka. Był to domek jednopokojowy z kuchnią. Obok naszego domku mieszkali także nauczyciele z Tarnopola, z którymi rodzice dobrze się znali, a ja miałam koleżanki. Gotowała wtedy moja niania Marynia, która z nami często wyjeżdżała.

W Mikuliczynie były piękne widoki z niewielkimi górami, strumieniami i w pobliżu ładne okolice. Jadąc pociągiem z Tarnopola, już ze Stanisławowa widoczne były góry. Jak pamiętam nie po kolei mijaliśmy Tatarów, Jamne, Kamień Dobosza, Diłok, Jarencze i Worochtę, przejeżdżając przez liczne tunele.

U naszych gospodarzy były takie zwyczaje, że pod domem po południu śpiewano i grano na różnych instrumentach ludowych (kobza itd.) Śpiewało się często „Tam szum Prutu, Czeremoszu”, a mój tato przyłączał się i grał z nimi różne kołomyjki na skrzypcach. Było bardzo przyjemnie, swojsko. Gospodarze spali na wysokich piecach i kożuchach.

Jedli na obiad najczęściej kartofle z bryndzą z jednej miski, palcami. Miski były z gliny polewanej i kolorowe. Stasia, moja siostra, to podpatrzyła. Przyjaźniła się z córką gospodarza Waseleną. Wszyscy mówili po polsku. Huculi wytwarzali różne wyroby z gli-

ny, jak wazonny dekoracyjne, popielniczki i miski. Zajmowali się także tkactwem. Spod ich rąk wychodziły piękne kilimy, kapy na łóżka, wszystko z wełny. Moja mama kupowała do kościółka dywanik lub kilimek. Zajmowali się również wszywaniem w tkaniny malutkich koralików. Były to bransoletki, pierścionki i inne.

Gospodarze i miejscowi byli przeważnie wyznania greckokatolickiego, chodzili do cerkwi. W Mikuliczynie był mały kościółek, do którego my chodziliśmy. Nasz gospodarz uchodził za bogatego, bo oprócz kilku domów, które wynajmował, miał kilka świń i owce na połoninie.

Jedna z ich córek szła do ślubu, jadąc na koniu, ślicznie przystrojona, z wiankiem na głowie, pan młody obok także na koniu odświętnie ubrany. Towarzyszyła ludowa orkiestra z przyśpiewkami. Konie niskie, huculskie.

W górach i na nizinach można było się spotkać ze żmijami, rodzice ostrzegali mnie przed tymi gadami. Można też było trafić na niegroźne zaskrońce. Dla dziecka były to nowości – żyło tu dużo ptactwa, a w rozpadlinach mieszkwały świstaki. Rodzice starali się zapoznać nas z otaczającą przyrodą.

Ostatni nasz pobyt na wczasach był w 1938 roku w Worochcie, która zaliczała się do większych kurortów. Tam mieszkaliśmy w willi „Emilia”, blisko tartaku. Szło się do niej pod górę, po drewnianych schodkach. Jadaliśmy w dużej jadłodajni, gdzie były bardzo dobre obiady domowe, trzydaniowe. Ostatnim krzykiem mody była sprzedawana na ulicy gotowana kukurydza. Młodzi, a nawet starsi, zajadali się tym przysmakiem.

Wymienię jeszcze mieszkających w tej willi. Największe pomieszczenie zajmowały dwie rodziny państwa Głębockich z Warszawy, pani Słotawa z Katowic z córką Sylwią, pani z Lublina, której nazwiska nie pamiętam, z córką Ircią, młode małżeństwo ze Lwowa z operetki i my z Tarnopola. Wieczorami urządzano spotkania na podwórzu, urozmaicone śpiewem, deklamacjami, skeczami. Szczególnie pięknie śpiewali młodzi małżonkowie z operetki. Sonia studiując balet, popisywała się swoim talentem – rano ćwiczyła przy poręczy.

Atmosfera była niezwykle przyjemna, czasami organizowaliśmy wspólne wycieczki. Nikt nikogo nie krępował, każdy dzielił się wrażeniami z cudownych gór Podkarpacia. W Worochcie była najwyższa góra – Howerla (2061 m n.p.m.), ale mnie tam nie zabrano. Podziwialiśmy źródelka zdrowotne i lecznice siarkowe albo siarczane. To były spokojne i beztrudne czasy.



Z rodzicami i siostrami – Jaremcze 1936

Ja, jako najmłodsza, dziewięcioletnia dziewczynka, byłam ciekawa, jak wygląda granica Polski. Całe towarzystwo zgodziło się wybrać pieszo do granicy polsko-rumuńskiej. Była to ostatnia stacja, skąd wracaliśmy koleją. Była to wycieczka jednodniowa. Na granicy były tylko słupki, których nikt nie pilnował, a ja byłam bardzo zachwycona, że to widziałam. Nikt wówczas nie przypuszczał, że w roku 1939 Polacy będą tędy uciekać.

Worochta swoją sławę zawdzięczała XIX-wiecznej budowli – wiaduktowi w Jaremczu (w tle na zdjęciu). Wiadukt ten zbudowany z kamienia, długości 200 metrów, a wysokości 32 metrów. Pod Worochtą zbudowano jeszcze dwa imponujące wiadukty. Pod wiaduktem płynie słynna rzeka Prut. Trasa prowadząca przez liczne mosty i tunele, była dziełem genialnego inżyniera Stanisława Ra-

wicz-Kosińskiego. Najwyższy wiadukt był największy w ówczesnej Europie. Zniszczony został podczas II wojny światowej.

Do Worochty przyjeżdżali najchętniej polscy turyści. Były to czasy jeszcze spokojne, chociaż z radia i prasy dochodziły różne niepokojące wiadomości. Z tego powodu w roku 1939 rodzice nie zdecydowali się na wyjazd w góry.

Gdy wybuchła wojna, wszystko się skończyło. Niemcy wraz z Sowietami napadli na nasz kraj, dzieląc go między siebie. Sowietci siali propagandę, że wyzwolili ludzi od polskich panów. Wszystkich ogarnął strach i przygnębienie. Co dobre, się skończyło. Moi rodzice doskonale się orientowali, co to są bolszewicy, jak się zachowywali podczas rewolucji i jakie z ich strony nastąpią represje. Zaczęli od aresztowań i wywózek na Sybir. Z kamienicy przy ul. Kotlarskiego 8 w Tarnopolu w jedną noc wywieźli trzy rodziny – z żonami oficerów. Zesłano kapitanową Tomaszewską, Zofię Mosakowską – żonę porucznika i majorową Czerwińską z małymi dziećmi – Zosią i Heniem.

W tę samą noc aresztowali i wywieźli mojego wujka Stanisława (brata mojej mamy) oraz wujostwo Sakaluków z dorosłymi córkami i małym, kilkumiesięcznym dzieckiem mojej kuzynki. Wujek Paweł Sakaluk był nauczycielem i w Kazachstanie nie chciał podpisać obywatelstwa sowieckiego, więc go tam aresztowali i wykończyli. Rodzina do dziś nie wie, gdzie został pochowany. Córki cioci mój tato sprowadził w 1945 roku do Tarnopola, wysyłając tzw. „wyzow”. Mąż jednej z córek, porucznik Zdzisław Manaster-ski, zginął, jak się później okazało, w Starobielsku. Czwartą wywózkę Sowietci zaplanowali na rok 1941, byliśmy na tej liście. Chwała Bogu nie zdążyli, bo chyba byśmy tego nie przeżyli.

Moje wspomnienia z Tarnopola opisywałam kolejno w „Głosach Podolan” z roku 1999, nr 32, „Jeździłam z paczkami do więzienia w Czortkowie”, nr 93 z 2009 roku – „Wspomnienia z oblężonego Tarnopola oraz nr 134 z 2016 roku – „Moje wspomnienia jeszcze z Tarnopola”.

Wiktor Chmieluk
Głogów

Osobliwości Podola – „Tajemnicza siła”

Od redakcji: ponad dziesięć lat temu na łamach „Głosów” Panowie Wiesław Barczyk i Jerzy Stopa publikowali cykl „Osobliwości Podola”, opisując m.in. Miodobory, płonący krzak Mojżesza czy małe nigdy niezamarzające jezioro zwane „okninami”. Chcemy wrócić do tego cyklu, publikując co jakiś czas sprawy czy rzeczy które nigdzie indziej nie były spotykane z racji swej unikatowości czy tajemniczości. Jedną z takich „tajemniczych historii” przesłał p. Wiktor Chmieluk z Głogowa. Materiał ten dotychczas na łamach „Głosów” nie był publikowany.

Wielu z nas pasjonuje się serialem „Z archiwum X” czy programem „Nie do wiary”. Nie wszyscy zdają sobie sprawę, że tajemnicze zjawiska działy się i dzieją nadal również wokół nas. Chciałbym opowiedzieć o autentycznym, dziwnym wydarzeniu, które miało miejsce w 1934 roku w mojej rodzinnej miejscowości Skorodyńce w powiecie czortkowskim.

Moja wieś otoczona była żyznymi polami i lasami, a życie mieszkańców wypełnione było ciężką pracą. Co tydzień w niedzielę po mszy w miejscowym kościółku mieszkańcy Skorodyniec bawili się w Domu Ludowym. Sielankę przerwała wieść, że w gospodarstwie Jana Kurasiewicza coś straszny.

Jan i Tekla Kurasiewiczowie byli młodym małżeństwem. Prowadzili wspólnie gospodarstwo, a ponieważ Tekla spodziewała się dziecka, postanowili sprowadzić do pomocy dziewczynę. Hanka, bo tak było na imię tej kilkunastoletniej panience, pochodziła z odległych o 15 kilometrów Wierzbowców. Dziewczyna jak mogła, tak pomagała małżeństwu. Kurasiewiczom żyłoby się bardzo dobrze, gdyby nie to, że w domu, do którego się wprowadzili, zaczęły dziać się dziwne rzeczy, które to zburzyły ich spokój.

W mieszkaniu młodej pary zaczęły się przemieszczać różne przedmioty. Tajemnicza siła rzucała o ściany naczyniami, przesu-

wała meble. Wydarzenia te, występujące nie tylko nocą, napawały trwogą i spędzały sen z powiek. Początkowo młodzi utrzymywali całą sprawę w tajemnicy, traktując dziwne zdarzenia jako odosobnione przypadki. Przez wiele dni łudzili się nadzieją, że jak problem się pojawił, tak i zniknie. Niestety, tajemna siła nie dawała za wygraną nawet pomimo odprawionej mszy za zmarłych – gdyż sądzili, że w ich domu pokutują grzeszne dusze.

Jan postanowił powiedzieć o problemie mojej babce oraz moim rodzicom. Mój ojciec – Ludwik Chmieluk, nie dowierzając Janowi, postanowił osobiście się przekonać o tym, co dzieje się w jego gospodarstwie. Udał się do nich wieczorem. Kiedy otworzył drzwi i stanął na progu izby, w której domownicy jedli kolację, już na przywitaniu u jego stóp wylądowała doniczka z kwiatami. Skorupy i ziemię szybko posprzątała wspomniana już Hanka.



Podobnie wyglądał dom Jana i Tekli, w którym w 1934 r. miały miejsce opisywane wydarzenia.

Ojciec spędził u swych sąsiadów kilka godzin. Gdy zapadł zmierzch, domownicy udali się na spoczynek, a on siedział przy ich łóżku. Nagle Jan stwierdził, że coś porusza łóżkiem. Ojciec wycią-

gnął rękę, by się przekonać, czy tak jest w istocie. Gdy dotknął posłania, poczuł, że również krzesło, na którym siedział, zaczęło podskakiwać. Jak mi później opowiadał, ogarnął go wówczas ogromny strach, że znalazł się pod działaniem jakiejś nieznanej mu mocy. Całe to nocne zdarzenie trwało kilkanaście minut. Gdy wszystko się uspokoiło, największym marzeniem mojego ojca było wyjść stamtąd jak najszybciej. Ponieważ wioska nie była duża, wieść szybko się rozeszła i wielu sąsiadów odwiedzało to gospodarstwo, by na własne oczy zobaczyć, co się tam dzieje.



Autor z Teklą Kurasiewiczową

Z poświęceniem swego domu Kurasiewiczowie chcieli poczekać do kolędy po Bożym Narodzeniu, ale wobec powyższych wydarzeń zwrócili się do proboszcza o wcześniejsze poświęcenie. Gdy ksiądz wszedł do domostwa, tajemnicza siła znów dała znać o sobie. W niewyjaśniony sposób to „coś” rozrzuciło pościel na posłanych łóżkach. Przez cały czas wizyty księdza Tekla z sąsiadkami musiała przytrzymywać pościel. Proboszcz dokładnie poświęcił całe gospodarstwo.

Wszystkim wydawało się, że tę i następną noc młode małżeństwo spędzi spokojnie. Niestety, było inaczej. Tajemnicza siła nic nie zrobiła sobie z wizyty osoby duchownej i dalej poruszała przedmiotami i meblami. Sąsiedzi poradzili, by wszystkie zakamarki posypać święconym makiem. Tak też uczyniono. Niestety, nie przyniosło to żadnego efektu – „zły” nie ustępował.

Zjawiskiem zainteresował się kierownik miejscowej szkoły Stanisław Kotowicz (ojciec p. Ireny). Zaczął badać to dziwne zjawisko. Pewnego dnia, gdy wraz ze swą żoną oraz Janem i Teklą analizowali w ich domu to zjawisko, z jakiegoś zakamarka wyleciał ciężki, kamienny garnek z pierzem i rozbił się o podłogę, a wówczas pióra zaczęły krążyć po całym domostwie. Kotowicz wraz z żoną, ciężko przerażeni, opuścili mieszkanie Kurasiewiczów.

Tajemnica nie dawała jednak spokoju kierownikowi szkoły. Począł w literaturze szukać odpowiedzi na pytanie – co się dzieje w tamtym domu? Po dokładnym przeanalizowaniu wszystkich niewyjaśnionych zdarzeń Stanisław Kotowicz stwierdził pewną prawidłowość: gdy następowały te dziwne zdarzenia, zawsze w pobliżu była służąca Kurasiewiczów – Hanka. Gdy powiedział o tym Janowi, ten postanowił ją obserwować.

Pewnego razu, gdy Hanka myła naczynia, zauważył, że dziewczyną wstrząsnął dziwny dreszcz. Opowiadał on później, że wyglądało to tak, jakby przez jej ciało przepłynął prąd elektryczny. Zaraz potem zaczęły poruszać się naczynia, które zmywała. Sprawa stała się jasna – wszystkiemu winna służąca, Kurasiewiczowie sownie jej zapłacili i odprawili. Wraz z nią zniknęła „tajemnicza siła”, a życie Jana i Tekli wróciło do normy. Ich koszmar trwał ponad miesiąc.

Jan Kurasiewicz został wcielony do I Armii Wojska Polskiego. Został ciężko ranny w czasie forsowania Odry i z ran zmarł – pochowany został w Siekierkach. Tekla z córkami przeprowadziła się do Czortkowa, gdzie zmarła około 2000 roku. Co stało się z Hanką, trudno mi dziś powiedzieć. Po odejściu od Kurasiewiczów, na pewien czas przygarnął ją miejscowy organista, ale i on ją po kilku miesiącach odprawił.

W latach 60. przeczytałem w gazecie, że w Niemczech żyje kobieta, która siłą woli przesuwana nawet pancerne kasy. Szczególną uwagę zwróciłem na ten fakt, gdy wyczytałem, że kobieta ta pochodzi ze wschodu – może to była Hanka?

Dziś takich przypadków nauka zna wiele. Oddziaływanie siłą woli nazywa się telekinezą. Wielu osobom dar ten przyniósł ogromne pieniądze, niestety na Hankę sprowadził same problemy.

Marek Szpytko
Poznań

Wędrowki po Kresach – Podole (cz. II)

Tę opowieść, o kilkunastu zaledwie wybranych miejscowościach i ludziach je zamieszkujących rozpocznę od arcyciekawego historycznie KAMIENCA PODOLSKIEGO. Miasto to po 1920 roku znalazło się, niestety, po radzieckiej stronie granicy, choć według badań historyków, ZSRR planował zostawić je przy Polsce. Jeszcze w 1939 roku zamieszkiwało je 20% Polaków. Centralnym punktem wycieczek do tego miasta jest twierdza, której według legendy bronił Michał Wołodyjowski. I choć jest to postać literacka, to wzorowana na prawdziwej – Jerzego Wołodyjowskiego, który także wysadził się pod koniec oblężenia.

Wracamy na teren II RP, do BRZEŻAN w województwie tarnopolskim, liczących w 1939 roku 12 000 mieszkańców. Pierwsza notatka o miasteczku pochodzi z roku 1375, a staraniem jego właściciela, Mikołaja Sieniawskiego (1489–1569), hetmana wielkiego koronnego, około 1534 roku rozpoczęto na wyspie, w widłach Gnilej Lipy, budowę potężnego zamku, który z czasem ufortyfikowano do stanu fortecy.

Brzeżany należą do najpiękniejszych i atrakcyjnych turystycznie miejsc Małopolski Wschodniej z racji malowniczego położenia wśród porośniętych lasami wzgórz, dobrze zachowanej średniowiecznej zabudowy oraz uratowanej, o dziwo, znacznej liczbie cennych zabytków. Jednym z nich są ruiny wspaniałego zamku, który należał do największych w granicach I Rzeczypospolitej.

W miasteczku urodził się wybitny polski językoznawca i historyk Aleksander Brückner (1856–1939), który studiował we Lwowie, doktoryzował się w Lipsku, a habilitował w Wiedniu. W

wieku 25 lat uzyskał profesurę i objął katedrę języków słowiańskich na uniwersytecie w Berlinie. Jego dorobek to między innymi: „Dzieje kultury polskiej”, „Dzieje języka polskiego”, „Encyklopedia staropolska” czy „Słownik etymologiczny języka polskiego”.

Inną postacią urodzoną w Brzeżanach był marszałek Polski Edward Rydz-Śmigły (1886–1941). Z miasteczkiem również blisko był związany pisarz, eseista i krytyk literacki Karol Irzykowski (1873–1944), który uczył się, a następnie pracował w tamtejszym gimnazjum.

Natomiast uczniem pobazylińskiego gimnazjum w BUCZACZU, do którego uczęszczał w latach 1832–1833, był Kornel Ujejski. Uczniami tegoż w latach późniejszych byli malarz Juliusz Kossak, publicysta Jan Lam oraz jeden z największych piewców Kresów – Jerzy Janicki.

Kornel Ujejski (1823–1897) urodził się w rodzinnym majątku w miejscowości BEREMIANY, nad zalesionym jarem rzeki Strypy pełnym wodospadów, skał wapiennych i jaskiń. Był jednym z najpopularniejszych poetów XIX wieku, publicystą, działaczem społecznym, dziś trochę zapomnianym. Na emigracji w Paryżu poznał Chopina i Mickiewicza, a przyjaźnił się z Juliuszem Słowackim. Najbardziej znane jego utwory to poemat „Maraton”, wiersze z cyklu „Skargi Jeremiego” oraz chorał śpiewany jako hymn „Z dymem pożarów, z kurzem krwi bratniej...”. Umarł w Pawłowie, a po jego rodzinnym dworze dziś już nie ma nawet śladu.

Z UŁASZKOWIC pochodzi prozaik, malarz i architekt Zygmunt Haupt (1907–1975). Gimnazjum ukończył we Lwowie, tamże studiował architekturę, a studia pogłębiał w Paryżu. Walczył w kampanii wrześniowej 1939 roku, a następnie w Wojsku Polskim na Zachodzie. Od 1947 roku zamieszkał w USA, gdzie zmarł. Utwory swoje publikował między innymi w paryskiej „Kulturze”. Wydał dwa tomy opowiadań, „Pierścień z papieru” i „Szpica”, utrzymane w klimatach podolskich.

ROHATYN – XIV-wieczne miasteczko obronne o bardzo bogatej historii i licznych zabytkach, leżące nad Gniłą Lipą przy

drodze łączącej Lwów ze Stanisławowem. W 1939 roku liczba ludności wynosiła 9000.

Innymi dwoma wybitnymi ludźmi Podola byli proboszczowie parafii katolickiej w ROHATYNIE: Marcin Kromer (1512–1589), historyk, geograf i pisarz, oraz Piotr Skarga (1536–1612), jezuita, hagiograf i późniejszy nadworny kaznodzieja króla Zygmunta III Wazy.

Jeszcze bujniejszą historią i wspaniałymi zabytkami legitymuje się, założony w XIV wieku, a od XV wieku posiadający prawa miejskie, słynny BUCZACZ leżący w krętym jarze rzeki Strypy. Ze względu na swoje położenie należy do najpiękniejszych i najciekawszych miasteczek galicyjskiego Podola. Najbardziej znanym współcześnie jest tu urodzony słynny łowca nazistów – Szymon Wiesenthal (1908-2005), dzięki któremu złapano wielkiego niemieckiego zbrodniarza Adolfa Eichmanna.

Innym znanym obecnie Podolaninem jest urodzony w 1936 roku w HNILCZACH, a mieszkający we Wrocławiu Stanisław Srokowski, poeta, prozaik, dramaturg, tłumacz i krytyk literacki. Hnilcze to duża podolska wieś, w której do 1939 roku żyło spore skupisko Polaków. Dziś jedyną po nich pamiątką jest neogotycki kościół pw. Świętego Imienia Matki Boskiej, po wojnie światowej zamieniony na magazyn i chlew, a obecnie opuszczony i zniszczony. Cdn.

Redakcja

„Kamienie Pamięci”

Na podstawie materiałów prasowych



Nasza wieloletnia prenumeratorka z Nowej Soli, p. Katarzyna Cilińska, w ramach projektu edukacyjne-

go pt. „Kamienie Pamięci” organizowanego przez Instytut Pamięci Narodowej w sierpniu ubiegłego roku zorganizowała w Wykrotach w pow. bolesławieckim niezwykle uroczystą patriotyczną czczącą jej ojca Konstantego Lisowskiego – bohatera wojny polsko-bolszewickiej w latach 1919–1921.

Celem zeszłorocznej XI edycji projektu edukacyjnego pt. „Kamienie Pamięci” jest upamiętnienie osób, które czynnie uczestniczyły w działaniach na rzecz niepodległego bytu państwa polskiego w trakcie wojny polsko-bolszewickiej, w setną rocznicę tych wydarzeń. Przywrócenie w lokalnych społecznościach pamięci o przodkach, którzy w trudnym okresie dziejowym niejednokrotnie oddali własne zdrowie i życie w obronie ojczyzny jest naszym obowiązkiem i zaszczytem.



Konstanty Lisowski z żoną

Uroczystość patriotyczna w Wykrotach rozpoczęła się w kościele parafialnym pw. św. Michała Archanioła i św. Anny mszą świętą. Po mszy uczestnicy przeszli na cmentarz parafialny, na którym poświęcono symboliczny grób ich Bohatera. Na symbolicznym grobie Konstantego Lisowskiego zapalono znicze i złożono wiązanki kwiatów. Potem zaproszeni goście spotkali się w sali wiejskiego Domu Ludowego. Sylwetkę Bohatera Konstantego Lisowskiego przedstawił bardzo wzruszony prawnuczek Katarzyny Cilińskiej.

Mieszkańcy Zagajnika czy Wykrot to w większości Polacy, którzy zostali przesiedleni z ziem polskich z dawnego województwa tarnopolskiego. Na spotkaniu w Wykrotach mogliśmy poznać drzewo genealogiczne rodziny Lisowskich.

Konstanty Lisowski urodził się 25 lutego 1900 roku w Janowie w powiecie tarnopolskim w rodzinie patriotyczno-katolickiej. Po ukończeniu Szkoły Powszechnej w Janowie, jako ochotnik w wieku 16 lat, wstąpił do Legionu Józefa Piłsudskiego. Został wcielony do 15 Pułku Piechoty armii austro-węgierskiej. Brał czynny udział w wyprawie na Kijów, a tym samym uczestniczył w ofensywie Wojska Polskiego i armii Ukraińskiej Republiki Ludowej przeciwko Armii Czerwonej na Kijów w kwietniu 1920 roku podczas wojny polsko-bolszewickiej.

Wstąpił do Policji Granicznej, w szeregach której strzegł granicy polsko-bolszewickiej w Nowosiółce Biskupiej nad Zbruczem. W okresie międzywojennym był członkiem Towarzystwa Szkoły Ludowej założonej przez Adama Asnyka. Celem Towarzystwa było budowanie szkół, bibliotek, domów ludowych. W czasie II wojny światowej w swoim domu ukrywał Żydówkę, sekretarkę elektrowni w Janowie. 10 marca 1944 roku został zamordowany przez nacjonalistów ukraińskich.

Po zakończeniu II wojny światowej cała rodzina Lisowskich i inni mieszkańcy zostali przesiedleni, między innymi do Zagajnika i Wykrot. Na cmentarzu parafialnym znajduje się grób jego żony Elżbiety.

Inicjatywa Katarzyny Cilińskiej, mieszkającej obecnie w Nowej Soli, jest niezwykle ważna i cenna. Nie tylko integruje lokalną społeczność, ale także uczy historii i pokazuje bohaterstwo ludzi z dawnej Polski. Kamień Pamięci zbudowany w postaci symbolicznego grobu na cmentarzu w Wykrotach pozostanie na wieki i będzie przypominał o bohaterach tamtych lat.

Komunikaty redakcji

- Pomimo usilnych starań (wysyłka zaległych numerów mimo braku kontaktu telefonicznego, próba zdobycia informacji w oddziałach, parafiach itp.) dotychczas nie nawiązaliśmy kontaktu z następującymi wieloletnimi prenumeratoremami:

Krystyna Biedakowa (Kraków), Władysława Homa (Szczecin), Romualda Krzykowska (Warszawa), Helena Marek (Orzesze), Maria Mielewska (Tczew), Helena Lis-Kuźmińska (Pyskowice), Maria Rokita (Kraków), Tadeusz Rut (Racibórz).

Możliwe, że osoby te nadal chętnie prenumerowałyby „Głosy”, lecz nie wiedzą, że znów się one ukazują. Jest też, niestety, smutna możliwość, że niektóre z nich odeszły „na wieczną wartę” i chcielibyśmy je na naszych łamach pożegnać. Czytelników, którzy znają kogokolwiek z tej listy, prosimy o wiadomość lub przekazanie im naszych danych teleadresowych z prośbą o kontakt.

- Redakcja dziękuje serdecznie córce p. Ireny Kotowicz – p. Annie Szczepańskiej, za przekazanie materiałów zgromadzonych przez jej matkę. Artykuły wspomnieniowe, które nie zostały jeszcze opublikowane, będziemy sukcesywnie zamieszczać na naszych łamach.

- Na zapytania naszych Czytelników co do dalszych losów statuetki „Semper Fidelis” przyznanej, lecz niewręczonej p. Irenie Kotowicz, kapituła wyjaśnia, cytując odpowiedni paragraf regulaminu tego lauru: *Statuetka jest przyznawana jedynie osobie wyróżnionej. Odbiór winien nastąpić do końca roku, w którym podjęto taką decyzję. Po upływie tego terminu statuetka nie zostanie wręczona. Osoba wyróżniona zachowana jednak będzie w wykazie laureatów.*

- Informujemy, że w maju br. opracowano zeszyt specjalny „Bibliografia »Głosów Podolan« za lata 1993–2018”. Zawiera on spis treści wszystkich dotychczasowych 150 numerów „Głosów”, indeks geograficzny miejscowości w nich wymienionych (ok. 110 z woj. tarnopolskiego) ze wskazaniem numeru, w którym informacje o danej miejscowości się znajdują, indeks alfabetyczny autorów oraz alfabetyczny wykaz nekrologów i wspomnień pośmiertnych. Numer zawiera ponad 70 stron formatu A4 (dwa razy większy niż „Głosy”). W związku z tym, że zeszyt ten interesować może tylko wąskie grono prenumeratorów nie ukazał się drukiem. Został on umieszczony na stronie Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej oraz rozesłany wszystkim prenumeratorom, którzy podali adres e-mail. Osoby, do których numer jeszcze nie dotarł, a chciałyby go otrzymać, prosimy o kontakt. Istnieje także możliwość nagrania teoż

wydawnictwa osobie zainteresowanej na płycie CD i wysłania – można z niej bez problemu wykonać druk w dowolnym punkcie ksero.

- W najbliższym, choć jeszcze nieustalonym czasie, planujemy wydać drukiem następujące zeszyty specjalne: „Zaleszczyki” oraz „Policjanci województwa tarnopolskiego”. Zeszyt o Zaleszczykach zawierać będzie niepublikowane jeszcze wspomnienia, biografy, opisy zabytków dot. Zaleszczyk. Drugi z zeszytów, który najprawdopodobniej ukaże się w dwóch częściach, zawierać będzie wykazy i związane biografy policjantów z całego województwa. Numery rozesłane będą bezpłatnie w ramach prenumeraty. Jeden z tych numerów pragniemy wydać jeszcze w tym roku. Osoby, które mają materiały na wspomniane tematy i chciałyby się z nimi podzielić prosimy o kontakt: w sprawie numeru „Zaleszczyki” z redakcją, natomiast o policjantach materiały zbiera członek redakcji p. Robert Szczerkowski z Wrocławia, Tel.: 880-679-423.

- Z przyjemnością informujemy, że niedawno jubileusz 150 numeru obchodziła redakcja „**Spotkań Świrzan**”. Czasopismo to ukazuje się w formacie takim, jak nasze „Głosy Podolan” i jest dwumiesięcznikiem. Zajmuje się głównie pow. przemysłańskim woj. tarnopolskiego. Każdy numer jest ilustrowany i starannie wydany.

Redakcja chętnie przyjmuje materiały do publikacji. Osobom zainteresowanym prenumeratą podajemy dane kontaktowe redakcji: 59-337 Lubin, ul. Sokoła 28/6, adres internetowy: erjotwulubin@wp.pl red. naczelny p. Józef Wyspiański, tel. 76-74-94-125. Istnieje także wersja elektroniczna na stronie Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej.

Na ręce p. Józefa Wyspiańskiego składamy gratulacje i życzymy dalszej owocnej pracy i kolejnych jubileuszy.

Czytelnicy piszą

- **Oddział TMLiKPW „Czortków” we Wrocławiu:** *Informujemy, że w dniu 4 lipca br. odprawiono uroczystą mszę świętą w intencji pomordowanych czortkowskich dominikanów, którą zamówił nasz*

Oddział. Msza odbyła się w kościele Dominikanów we Wrocławiu w 80 rocznicę tych tragicznych zdarzeń. Mszę takową nasz Oddział zamawia rokrocznie¹.

• **P. Edward Słobodziński**, nasz wieloletni prenumeratorem z Niemcy, przesłał do redakcji ciekawe zdjęcie z informacją:



W połowie 2019 roku byłem w Budzanowie k. Czortkowa na weselu krewnej. Tradycyjnie odwiedziłem także Czortków, gdzie posiliłem się w restauracji o ciekawej nazwie »Pan Czartkowski« . Fotografię załączam. Restauracja w środku wystrojona jest przedwojennymi zdjęciami oraz materiałami dotyczącymi Czortkowa. Co ważne – nie zaciera się tu polskiej historii tego miasta. Właścicielem lokalu jest sympatyczny pan, nie wiem czy Polak, ale bardzo dobrze władający naszym językiem. Niestety, nie wyraził zgody na dalsze fotografowanie. Restauracja znajduje się dosłownie 20 metrów na lewo od wejścia do naszego kościoła.

Chciałbym dodać, że gdy byłem w kościele, który wówczas remontowano, na mych oczach odkryto spod tynku tablicę z 1883 roku poświęconą królowi Janowi III Sobieskiemu.

¹ 4 lipca 1941 w bestialski sposób zamordowano na terenie klasztoru w Czortkowie ośmiu ojców dominikanów. Pomimo podejrzeń kierowanych wobec NKWD, UPA czy Żydów sprawy nie wyjaśniono. Mord miał miejsce przed wkroczeniem Niemców do miasta.

• List do redakcji nadesłał także **p. Franciszek Bąkowski** z Poznania: *W nawiązaniu do artykułu zamieszczonego w „Głosach Podolan” w numerze z marca br. traktującego o rodzinnym życiu państwa Edwarda Dubanowicza i jego żony Magdaleny z domu hrabiny Cieńskiej, pragnę dodać wiadomość o zainteresowaniach ich najstarszej córki – Marii.*



Otóż Maria oprócz pracy w gospodarstwie kolchozowym, dokąd sprowadzono całą rodzinę, z dużym trudem notowała własne i rodzinne wspomnienia o warunkach, w jakich musieli żyć. Takie warunki pokazała w wierszu „Praca w Kazachstanie”. Miałem przyjemność korespondować z p. Marią. W efekcie tej korespondencji otrzymałem kilkanaście wierszy napisanych w różnych okresach pobytu w Kazachstanie, wśród nich wiersz „Śmierć wygnańca”. Inny wiersz, napisany już w Persji, po przepłynięciu Morza Kaspijskiego z wojskiem gen. Andersa i zamieszkaniu w wiosce Pahlewi, to „Pahlewi”.



Zrewanżowałem się p. Marii wykonaniem herbów rodzin Cieńskich i Dubanowiczów umieszczonych na dużej tarczy, co przyjęła z niemalą ciekawością.

Stowarzyszenie „Huta Pieniacka” spotyka się często z pomocą młodszych członków rodziny Dubanowiczów. Oto syn najmłodszej córki Dubanowiczów – Zofii, Pan Edward Mier-Jędrzejowicz ufundował dla tegoż stowarzyszenia sztandar oraz tablicę pamiątkową w brązie dla uczczenia zamordowanych mieszkańców Huty Pieniackiej. Sztandar i tablica znajdują się w kościele ojców Franciszkanów we Wschowie, która jest miastem siedzibą stowarzyszenia. Ten jakże piękny gest p. Edwarda świadczy o powiązaniu między rodziną Dubanowiczów i mieszkańcami Huty Pieniackiej.

Od redakcji: Informujemy, że w następnych numerach „Głosów” publikować będziemy kolejne materiały dotyczące zanego rodu Cieńskich oraz Dubanowiczów. Publikować będziemy wspomnienia p. Kazimierza Orlicza z Bydgoszczy, który został zesłany z rodzinnego Strusowa pow. Trembowła do Kazachstanu, gdzie poznał Dubanowiczów. Zamierzamy także dokończyć publikowany kilka lat temu na naszych łamach cykl wspomnień p. Ewy Fedorowicz-Cieńskiej o Ossowcach. Jeden ze wspomnianych wierszy publikujemy na naszej ostatniej stronie.

• Ciekawą fotografię nadesłała do nas także **p. Krystyna Adamczuk**, czortkowiec zamieszkała we Wrocławiu: *Przesyłam fotografię dworku mojego wujostwa Wiktorii i Antoniego Strumińskich. Dworek ten, konstrukcji drewnianej, znajdował się w Czortkowie przy ul. Kolejowej (Wygnanka Dolna). Rozebrany został na opał przez Sowieców, już po naszym wyjeździe w 1945 roku.*



Od redakcji: dodajmy kilka ciekawych informacji o tej budowli wyszukanych w naszym archiwum. Dworek powstał w XVII wieku, był konstrukcji modrzewiowej i już przed wojną, pomimo iż rodzina Strumińskich była rodziną ziemiańską, znajdował się w złym stanie technicznym i groziła jego rozbiórka. W 1937 na łamach „Znicza Podola” harcistrz Józef Opacki apelował o jego remont z zachowaniem oryginalnej formy, by nie podzielił losu przebudowa-

nego „domu rabina” czy drewnianej cerkwi unickiej. Na niektórych przedwojennych pocztówkach dworek był opisany jako miejsce urodzenia Kornela Ujejskiego ale brak na to potwierdzenia (źródła wskazują na Beremiany w pow. zaleszczyckim). Poeta gościł w Czortkowie w innym okresie, więc może w tym dworku przebywał w innym czasie.

• Otrzymaliśmy także list z wrocławskiego „Ossolineum”: *Serdecznie dziękujemy za przekazanie do naszych zbiorów 152 numeru wydawnictwa „Głosy Podolan”. Z prawdziwą przyjemnością włączamy go do zbiorów Ossolineum. Wdzięczni jesteśmy także za obietnicę przesyłania numerów kolejnych. Jest to dla nas bardzo istotne. Długoletnie tradycje naszej Instytucji obligują nas do starań o skompletowanie całości gromadzonych tytułów. Z poważaniem Elżbieta Hajduk - Dział Nowych Druków Ciągłych, Zakład Narodowy im. Ossolińskich*

Redakcja informuje, że „Głosy” prócz Ossolineum trafiają także do Biblioteki Narodowej w Warszawie (znajduje się tam cały komplet), Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie, Wielkopolskiej Biblioteki Cyfrowej oraz kilku bibliotek oddziałowych TMLiKPW. Jeżeli powstaną zapowiadane muzea Kresów w Brzegu i w Lublinie, także tam będziemy je wysyłać.

*Józefa Okrzesa
Niemodlin*

Urodził się 100 lat temu w Czabarówce

Piękny jubileusz Kresowianina – ppłk. Stanisława Adama Horodeckiego

Stanisław Adam Horodecki urodził się 17 września 1921 roku w rodzinie Franciszka i Karoliny z Rozłuckich, na Kresach II RP, na Podolu. Przyszedł na świat w Czabarówce, położonej nieopodal granicznego miasteczka Husiatyn nad Zbruczem – pow. Kopyczyńce, woj. Tarnopol.

Wychowany w polskiej katolickiej rodzinie, o tradycjach patriotycznych. Matka Karolina z radością i troską wychowywała swoich synów: Stanisława i młodszego Józefa. Uczyła ich patriotyzmu i umiłowania odzyskanej Ojczyzny – Polski. Stanisław w Czabarówce wzrastał wśród rówieśników, uczęszczał do szkoły, uczestniczył w różnych imprezach szkolnych, działał w stowarzyszeniach młodzieżowych i organizacjach patriotycznych.

Niedługo rodzina Horodeckich cieszyła się odzyskaną w 1918 roku niepodległością. 17 września 1939 roku Stanisław miał obchodzić swoje osiemnaste urodziny. W tym dniu wchodził w swoje dorosłe życie. Radość tej rocznicy została zniweczona agresją sąsiada zza Zbrucza – ZSRR. Wczesnym rankiem tego dnia Polacy – mieszkańcy Czabarówki i sąsiadującego miasteczka granicznego Husiatyna oraz cała walcząca z najeźdźcą niemieckim Polska – zostali zaskoczeni wkroczeniem Armii Czerwonej. Z przerażeniem zobaczyli lawinę żołnierzy radzieckich maszerujących szosą z Husiatyna, przez Czabarówkę i dalej, w głąb walczącej Ojczyzny. Od wczesnych godzin porannych do późnej nocy Armia Czerwona zalewała kraj od wschodu.

Polacy byli przerażeni, a Ukraińcy witali sowiecką nawałnicę kwiatami i chlebem. Niezwłocznie Ukraińcy zabrali się do „roboty”. Na oczach Stanisława bezcześcili narodowe symbole. Zrywali i deptali polską flagę, orła białego, napisy polskie. Do Polaków wymachiwali pięściami i krzyczeli „smert' Lacham”. Po 20 latach Polska utraciła niezależny byt. Nastąpiła ciemna noc dwóch okupacji. W Czabarówce i na Kresach Wschodnich była to najpierw okupacja bolszewicka.

W kolejnych dniach września '39 Polacy, w tym Stanisław, byli świadkami, jak drogą wiodącą przez Czabarówkę na wschód do ZSRR Sowietci prowadzili polskich żołnierzy wziętych do niewoli. Byli oni lokowani w zabudowaniach folwarcznych w Kierniczkach, blisko Husiatyna; oddalonych od Czabarówki o ok. 3 kilometry. Było tam zgromadzonych parę tysięcy polskich żołnierzy, głodnych i sponiewieranych. Polki – gospodynie domowe z okolicznych wiosek – piekły chleb i zanosily polskim żołnierzom. Przynosiły rów-

niez mleko, ser, owoce i co kto miał do jedzenia – niósł tym biednym, zniewolonym i głodnym jeńcom. Wśród wielu kobiet niosących im pomoc była także Karolina Horodecka, mama Stanisława, oraz Katarzyna Domaradzka – mama autorki niniejszego wspomnienia.

Wkrótce Stanisław Horodecki był świadkiem następnego zniewolenia i niszczenia Polaków przez ZSRR: W lutym 1940 roku, w mroźną noc, napadano na Polaków, także w Czabarówce, wysiedlano całe rodziny z ich domów, wywożono na stację kolejową w Husiatynie i wsadzano do bydłęcych wagonów. Parę dni pociąg stał jeszcze na stacji w Husiatynie, więc pozostali Polacy w Czabarówce zanosili pożywienie swoim rodzinom i znajomym, znajdującym się w wagonach. Pociąg wyruszał i wiozł tych biedaków na Sybir. Z Czabarówki duża grupa Polaków została wywieziona w głąb ZSRR – nigdy już do swoich domów nie wrócili.

Nie miejsce tu na opisywanie ciężkiego życia w głodzie i chłódzie podczas okupacji sowieckiej (IX 1939 – VI 1941) i niemieckiej (VI 1941 – wiosna 1944). Były to bolesne i smutne przeżycia dla Stanisława i jego pokolenia, wyrosłych już w wolnej Polsce.

Wiosną 1944 roku Armia Czerwona wyparła Niemców z Kresów Wschodnich. W pierwszej kolejności władza, już na powrót radziecka, za tzw. drugich Sowietów, ogłosiła mobilizację – pobór Polaków z Kresów do Wojska Polskiego. Mobilizacja obejmowała mężczyzn, ale także młode kobiety!

16 maja 1944 roku został powołany do Armii Polskiej również Stanisław Horodecki. Rodzice z bólem w sercu żegnali syna idącego na wojnę. Potem wyczekiwali listu.

Dla Stanisława rozpoczęła się nowa droga jego życia. Rodzicom pozostała modlitwa zanoszona do Trójjedynego Boga z prośbą o opiekę – o ocalenie syna. Modlitwy zostały wysłuchane i Stanisław przeżył wojenną poniewierkę.

Po zmobilizowaniu skierowano go do Oficerskiej Szkoły Piechoty w Riazaniu. Po jej ukończeniu wyruszył na front jako dowódca plutonu w 6 pułku piechoty, 2 Dywizji Piechoty. 24 kwietnia

1945 roku podczas walk frontowych nad kanałem Ruppinerkanal został ranny. Leczył się w szpitalu polowym w Eberswalde.

Po wyjściu ze szpitala został adiutantem dowódcy pułku. Kolejne awanse wojskowe i funkcje – dowódcy kompanii, szefa wydziału w Sztabie Dywizji.

Brał udział w walkach z UPA na terenie powiatu hrubieszowskiego, a następnie w okolicy Rzeszowa. Trzeba było walczyć z bandami ukraińskimi, które w Bieszczadach i na Rzeszowszczyźnie bestialsko mordowały Polaków. Tam wojna się jeszcze nie skończyła. Nad południowo-wschodnią Polską, po zakończeniu II wojny światowej, jeszcze długo były widziane pożary i dymy.

W 1957 roku skierowany został w stopniu majora do Studium Wojskowego Politechniki Śląskiej na stanowisko starszego wykładowcy przedmiotów ogólnowojskowych. Podobne stanowisko zajmował w Wyższej Szkole Pedagogicznej w Katowicach, potem w Uniwersytecie Śląskim. W 1976 roku pracował jako nauczyciel PO (Przysposobienie Obronne) w Technikum Samochodowym oraz przez cztery lata jako instruktor w Urzędzie Miejskim w Gliwicach.

Za udział w walkach frontowych oraz za wieloletnią służbę wojskową uhonorowano go wieloma medalami oraz odznaczeniami wojennymi i wojskowymi.

Założył rodzinę: Żona Zosia. Jeden syn Adam Franciszek zginął tragicznie. Drugi syn Jacek Józef, mgr inż. budownictwa; został dyrektorem PROBUD-u. W tym samym przedsiębiorstwie pracuje jego żona Danuta, absolwentka Politechniki. Stanisław jest dziadkiem dwóch wnuczek. Mieszkają w Gliwicach.

Wielcy wojennej i powojennej polityki dokonali nowego podziału świata po 1945 roku. W wyniku ich decyzji Polacy, mieszkańcy Kresów Wschodnich II RP, musieli opuścić swoją rodzinną ziemię, w tym również Czabarówkę.

Skończyła się wojna. Ale rodzinna ziemia; Czabarówka, Kresy – już do Polski nie należały. Z bólem i ze łzami Polacy opuszczali Ukochaną Ziemię, Czabarówkę, Kresy, Podole. Stanisław już nigdy nie zobaczył ziemi swojej i swoich przodków. Pozostała ona tylko w jego pamięci, wspomnieniach i wierszach.



Stanisław Horodecki z żoną Zofią, Gliwice, 24 lipca 2004 r.

Przymusowe wysiedlenie z ojczyzny, ekspatriacja po II wojnie światowej, rozproszyło czabarowiaków po Polsce i po świecie. Przerwane zostały, budowane latami, więzy rodzinne, sąsiedzkie, koleżeńskie, międzypokoleniowe. Spowodowało to stopniową utratę kulturowej, narodowej i etnicznej – a także rodzinnej – tożsamości. Tylko nieliczni dawni mieszkańcy Czabarówki utrzymywali ze sobą kontakty.

Po zmianach ustrojowych w Polsce w latach '90. XX wieku czabarowiacy zaczęli odnajdywać się wzajemnie. Przy okazji doraznie nawiązywanych kontaktów i rozmów wyrażali chęć, a nawet wolę częstszego spotykania się – w formie zorganizowanej. Tak doszło po wielu latach do zorganizowania I Zjazdu Czabarowiaków w dniach 28–29 czerwca 1992 roku we Wrocławiu. Na spotkanie to

przyjechały 73 osoby. Podczas zjazdu powołano organizację pod nazwą: Związek Ekspatriowanych z Czabarówki, woj. Tarnopol. W 1994 roku wydany został pierwszy numer związkowego periodyku pt. „Wieś Kresowa Czabarówka i Sąsiedzi”.

Od najmłodszych lat nasz Jubilat pisał wiersze. W nich wyrażał swoje przeżycia, wspomnienia i uczucia. W zjazdach, spotkaniach i dyskusjach czabarowiaków Stanisław Horodecki brał zawsze udział. Liczne jego wiersze były drukowane w kolejnych rocznikach „Wieś Kresowa Czabarówka i Sąsiedzi”. Poniżej przypominamy jego wiersz opublikowany w numerze 4 z czerwca 1997 roku. Utwór ten to jego pożegnanie i wspomnienie opuszczonej przezeń Czabarówki, gdy został zmobilizowany do Wojska Polskiego:

Pożegnanie – 16 maja 1944 roku

*Żegnam Cię, Matko moja rodzona,
Mój Ojciec i Bracie miły,
Znajomi, krewni i przyjaciele,
Wśród Was mi chwile najdroższe były.
Żegnam Cię, wiosko moja rodzinna
I ciebie, domku kochany,
I was, kwitnące sady i gaje,
Łąki i zbóż dorodnych łany.
I was też żegnam, śpiewające ptaszki,
Wróbelki, sikorki i kosy,
Żegnaj, Boży szary skowroneczku
I wy przemiłe słowicze głosy.
Żegnam cię ciepłe, złote słoneczko
I ciebie, miesięczku tajemny,
I was gwiazdeczki ufnie mrugające
W uroczne wieczory wiosenne.
Żegnaj, ach żegnaj mi, Czabarówko,
Wy małe chaty podolskie,
Gdzie się uczyłem kochać i cenić
Wszystko, co Boskie, ludzkie i Polskie!*

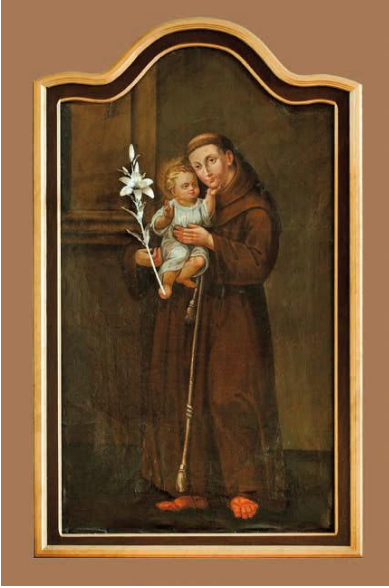
*Żegnaj mi ciepły deszczu majowy,
 Kroplista, poranna roso,
 Zielone łąki, szemrzące strumyki,
 Co w dal echem rechot żabek niosą.
 Żegnajcie drzewa, krzewy i kwiaty
 Siejące zapachy urocze.
 I was też żegnam kapliczki, krzyże
 Chrystusa kojące oczy.
 Żegnam Cię, szkoło wiejska kochana,
 I ciebie Domu Ludowy,
 Żegnam kościółku, ty Domie Boży,
 Gdziem spędzał uczyty godowe.
 Żegnam Was wszystkich, bowiem odchodzę
 W strony dalekie, nieznane.
 Trudno powiedzieć, czy tu jeszcze wrócę,
 Czy się już kiedy spotkamy...*

.....
*Ale przysięgam solennie i szczerze:
 Że nigdy Was nie zapomnę,
 Że zawsze będę nosił Was w sercu
 Do czasu – aż ducha wyzionę...!*

Stanisława życie, walka i praca związane są z najświeższym 100-letnim okresem historii Polski. Od odzyskania przez nią niepodległości w 1918 roku do dziś. Po 32 latach pracy przeszedł na zasłużony odpoczynek – emeryturę. Swój czas wypełnia pasjami jego życia: muzyką, poezją i śpiewem – kierował zespołem wokalo-recytatorskim „Sami swoi Solidarni”. Uczestniczył w corocznych zjazdach czabarowiaków organizowanych przez Związek Ekspatriowanych z Czabarówki. Służył radą i dostarczał materiały, które były w jego posiadaniu do redakcji kolejnych tomików wydawnictwa „Wieś Kresowa Czabarówka i Sąsiedzi”. Opublikowane tam zostały jego liczne wiersze – wspomnieniowe, kresowe, patriotyczne o ukochanej, a utraconej, Ziemi Ojczystej. Po latach, choć z trudem, ale uparcie przywoływał ze swojej pamięci i opisywał Po-

laków zamieszkałych w Czabarówce oraz zbierał informacje o miejscach ich osiedlenia w Polsce po 1945 roku.

Drogi Stasiu – Szanowny, czcigodny, dostojny Jubilacie!



Dziękujemy za:

- umiłowanie i obronę naszej Ojczyzny, Polski,
- spotkania i mądre rady, za wypowiedzi podczas Zjazdów Czabariaków,
- za Twoje wiersze,
- za okazywaną nam przyjaźń i wspólnotowe więzy,
- za to, że idąc przez życie, czyniłeś dobro,
- za to, że przez 100 lat współtworzyłeś historię Polski,
- że przez całe swoje życie byłeś wierny Bogu i Ojczyźnie,
- za to, że **JESTEŚ ŻYCZYMY**:

– zdrowia, pomyślności, poczucia dobrze spełnionego obowiązku wobec Boga, ludzi, rodziny i Ojczyzny

– oraz wielu Łask Bożych i opieki świętego Antoniego Padewskiego – Husiatyńskiego, z kościoła w Husiatynie.

PANIE PUŁKOWNIKU HORODECKI!

STANISŁAWIE ADAMIE – LARUM GRAJĄ!

W imieniu czabariaków oraz własnym –

Józefa Okrzesza z d. Domaradzka

(także rodem z Czabarówki)

Do powyższych życzeń z wielką radością dołącza się zespół redakcyjny „Głosów Podolan”. Na fotografii wizerunek świętego Antoniego Padewskiego – Husiatyńskiego, z kościoła w Husiatynie, od 1983 znajduje się on w Obornikach Śląskich.



*Władysław Białowąs
Korfantów*

ŚP rzeźbiarz Michał Cwynar oraz Jego Nastasów

ŚP Michał Cwynar urodził się w 1920 roku w Nastasowie na Podolu (woj. Tarnopol). Wieś Nastasów położona jest w powiecie tarnopolskim, 14 kilometrów od stolicy województwa. Przed wojną była wsią dużą. Żyło w niej około 4 tysięcy mieszkańców – Polaków, Rusinów oraz sześć rodzin żydowskich. Jest miejscowością, której przeszłość zapisano na kartach historii chlubnymi zgłoskami.

Pamięta i była ona świadkiem niejednego napadu tatarskiego i krwawych zmagañ naszego rycerstwa z dzikimi najeźdźcami, którzy grabili i palili dobytek naszych dziadów. To w Nastasowie pewien czas pracował znakomity kaznodzieja z zakonu ojców jezuitów, zwany złotoustym – Piotr Skarga.

W miejscowym kościele znajdował się obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, słynący licznymi cudami. Dowodem tych cudów i łask, jakie ludzie otrzymywali, były liczne wota. Wspomniany obraz od 1946 roku znajduje się w kościele Grobniki k. Głubczyc na Opolszczyźnie. Parę lat temu został poddany gruntownej renowacji. W 2001 roku minęło 300 lat istnienia tego wizerunku.

W Nastasowie w lipcu 1919 roku stoczono ciężką walkę z Ukraińcami, walkę wygraną. W sierpniu 1920 roku wojska polskie pokonały najeźdźcę sowieckiego, co wspomniane zostało na Grobie Nieznanego Żołnierza w Warszawie.

Michał Cwynar zaczął rzeźbić mając 10 lat. To od swojego ojca nauczył się tej sztuki, a także stawiania pieców, murowania.

Był człowiekiem wszechstronnie utalentowanym, a jednocześnie skromnym. Nie odmawiał wszelkiej pomocy sąsiadom. Dość często pomagał w przygotowaniu obchodów świąt kościelnych – stawiania szopek bożonarodzeniowych, ołtarzy na Boże Ciało itp. Lubił wiele opowiadać o przeszłości – okupacji sowieckiej, niemieckiej, o życiu ludności w Jego dawnej małej ojczyźnie.

Przed wojną pracował na gospodarce z ojcem, w wolnych chwilach rzeźbił, choć tych chwil miał bardzo mało. Był też zaangażowany przy pracach najemnych.

– Od 1924 roku do września 1939 proboszczem parafii Nastasów był ks. Franciszek Kubiański. Przy parafii było duże gospodarstwo rolne – wspominał Michał Cwynar. – Ojciec mój dość często pracował w tym gospodarstwie, wykonując roboty fachowe, takie jak: stolarka, murarka, ślusarstwo. Ks. Kubiański przy gospodarce miał pasiekę, około 100 pni. Obok tych uli kilka swoich miał wojewoda tarnopolski Tomasz Malicki, który znał księdza z lat szkolnych². Całość pasieki była ogrodzona. Do obsługi tych uli zaangażowali mnie z poręki mojego ojca. To spowodowało, że wojewoda Malicki często rozmawiał ze mną. Przyjeżdżał on wielokrotnie do Nastasowa; za jego sprawą z Tarnopola do Nastasowa utwardzono kamieniami gościniec, aby mógł on wygodniej jeździć samochodem do swojego kolegi i do swoich pszczoł. Przyjeżdżał z rodziną – żoną i dwoma córkami: Jadzią około 14 lat i Stasią około dziesięcioletnią (rok 1939). Bywał tu przeważnie w soboty i niedziele, a także na wakacje. Szofer wojewody często brał wiejskie dzieci na przejażdżki samochodem, a córki wojewody bawiły się z dziećmi z Nastasowa.

Tuż przed wkroczeniem wojsk sowieckich do Polski 17 września 1939 roku wojewoda z rodziną oraz ks. Kubiański z bra-

² Tomasz Malicki urodził się w 1885 roku w Łukawcu pow. Rzeszów, zmarł w roku 1951 we Wrocławiu. Urząd wojewody pełnił w latach 1937–1939. W czasie wojny brał udział w walkach w Afryce. Za jego urzędowania wybudowano na terenie województwa 22 Domy Ludowe, 3 kościoły, 9 kaplic, 5 szkół publicznych, ufundowano 3 probostwa i wiele orkiestr dla związków strzeleckich.

– przyp. red.

tem i bratankiem opuścili ziemię podolską i udali się do Rumunii. W czasie okupacji niemieckiej pan Michał był na robotach w Niemczech przez trzy lata; pracował tam jako murarz. Powrócił z Niemiec w 1945 roku i na stałe zamieszkał w Korfantowie w woj. opolskim.

– Po wojnie rzeźbiłem przeważnie dla rodziny – wspominał pan Michał – na pierwszą komunię, chrzest i inne uroczystości rodzinne, ale także z różnych innych okazji. Z biegiem lat zacząłem rzeźbić dla obcych, na zamówienie. Początkowo były to figurki o tematyce sakralnej – święci, krzyże z Panem Jezusem, Matka Boska. Z czasem zająłem się rzeźbami o tematyce świeckiej – zwierzęta, ptaki, postacie myśliwych, pracujących na roli – wyjaśniał pan Michał.

Prace Michała Cwynara były prezentowane na wystawach, targach miast województwa opolskiego, a także poza województwem. Po każdej wystawie czy targach otrzymywał od organizatorów dyplomy, medale pamiątkowe oraz podziękowania.



Ostatnią Jego rzeźbą jest Madonna Maria, której wzór wziął z przechowywanego przez Niego srebrnego medalika. Rzeźba ta – pięknie wykonana – ma 45 cm wysokości.

Michał Cwynar zakończył swe pracowite życie w roku 2019, w wieku 99 lat. Umiejętności swe zaszczepił synowi Zbigniewowi, który ukończył Liceum Plastyczne w Opolu. Syn pracował we „Froteksie” w Prudniku na stanowisku projektanta wzorów do tamtejszych wyrobów.

Hanna Dobias-Telesińska
Poznań

ŚP prof. Jerzy Albrycht (1924-2021)



Z żalem informujemy, że w wieku 97 lat, 2 czerwca br., zmarł członek Oddziału Poznańskiego TMLiKPW Profesor Jerzy Albrycht.

Jerzy Ludwik Andrzej Albrycht urodził się we Lwowie 12 lutego 1924 r. Jest synem znanego lwowskiego rzeźbiarza Andrzeja Albrychta, wykładowcy rzeźby w Szkole Przemysłowej we Lwowie, autora rzeźby lotników amerykańskich na Cmentarzu Orłąt Lwowskich. Jerzy Albrycht przed wojną ukończył dwie klasy w VIII Gimnazjum i Liceum przy ulicy Dwernickiego, a w czasie wojny 9 klasę sowieckiej dziesięciolatki. Podczas okupacji niemieckiej pracował w słynnym instytucie prof. Rudolfa Weigla, wynalazcy szczepionki przeciwko tyfusowi plamistemu. Instytut był „przechowalnią” polskiej inteligencji, która w pierwszej kolejności była zagrożona aresztowaniami i wywózką. Tam Jerzy Albrycht został przyjęty do grupy dra medycyny Henryka Mosinga, który umożliwił Mu dalsze kształcenie i pomógł przetrwać bezpiecznie okupację niemiecką.

Jerzy Albrycht zetknął się w tym okresie z takimi wybitnymi profesorami ze słynnej Lwowskiej Szkoły Matematycznej, jak Władysław Orlicz, Władysław Nikliborc, Stefan Banach, Bronisław Knaster oraz Andrzej Alexiewicz.

W 1944 r., po opuszczeniu Lwowa, poprzez Warszawę, zamieszkał w Poznaniu, do którego sprowadził ze Lwowa swoją matkę. Tu pracował prof. Orlicz. Rozpoczął studia na Wydziale Matematyczno-Przyrodniczym Uniwersytetu Poznańskiego, które ukończył w 1949 r., a w 1959 r. obronił pracę doktorską z „Teorii przeszczerzenia Marcinkiewicza-Orlicza i pewne jej zastosowanie”, której promotorem był prof. Orlicz, w Instytucie Matematycznym Polskiej Akademii Nauk.

W latach 1946–1972 dr Jerzy Albrycht pracował i awansował w Katedrze Matematyki, którą kierował nieprzerwanie prof. Władysław Orlicz. W 1984 r. otrzymał nominację na profesora Politechniki Poznańskiej – obowiązki profesorskie pełnił aż do przejścia na emeryturę w 1990 r.

Dorobek naukowy prof. Albrychta jest imponujący. Opublikował 40 prac z różnych dziedzin analizy matematycznej – ponad tysiąc recenzji dla zagranicznych pism. Pod Jego kierunkiem napisano ponad trzysta prac magisterskich – wypromował 21 doktorów, patronował 6 habilitacjom. Był kierownikiem i organizatorem licznych pracowni, laboratoriów i sekcji matematycznych. Przez wiele lat był przewodniczącym i sekretarzem licznych towarzystw, seminariów i kółek matematycznych.

W wielu odczytach i sesjach naukowych przedstawiał sylwetki lwowskich naukowców, takich jak Banach, Weigl, Orlicz, Nikliborc. Niestęchanie barwnie opowiadał nie tylko o ich osiągnięciach naukowych, ale również o życiu rodzinnym i towarzyskim, przybliżając słuchaczom unikalny klimat dawnego Lwowa, który choć już nie istnieje, wciąż fascynuje i uwodzi.

Profesor Jerzy Albrycht do Towarzystwa Miłośników Lwowa i Kresów Południowo-Wschodnich wstąpił 16 marca 1989 r. Przez wiele lat, gdy Mu zdrowie pozwalało, czynnie brał udział w organizowaniu Dni Lwowa i Kresów w Poznaniu, dzieląc się swą ogromną wiedzą na temat naukowców pochodzących z Kresów, działających na terenie Poznania i Wielkopolski. Prowadził sesje naukowe na temat „Udział lwowian w życiu naukowym i kulturalnym Wielkopolski”. Odznaczony był złotą odznaką TMLiKPW. W 2021 roku

nasz oddział zgłosił Go do wyróżnienia tytułem „Honorowy członek TMLiKPW”.

Był jednym z animatorów życia żydowskiego w Poznaniu. Głęboko wierzący katolik, nigdy nie krył fascynacji kulturą żydowską. Zbierał judaika, stworzył kolekcję menor. Czytał Stary Testament po hebrajsku, uczył się też języka aramejskiego. Zapalony filatelista, współzałożyciel koła Polskiego Związku Filatelistów przy Politechnice Poznańskiej, którego członkiem był od 1962 roku do śmierci.

W 2017 r. prof. Albrycht został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski nadanym przez Prezydenta RP Andrzeja Dudę za wybitne osiągnięcia badawcze w dziedzinie matematyki oraz działalność na rzecz popularyzacji i rozwoju nauki w Polsce i na świecie.

Msza św. w intencji Profesora odprawiona została 14 czerwca 2021 r. o godz. 10.00 w kościele parafialnym pw. św. Jana Kantego w Poznaniu przy ul. Grunwaldzkiej, a następnie o godz. 11.30 odbyły się uroczystości pogrzebowe na cmentarzu Junikowskim. Profesora żegnali przedstawiciele reprezentujący różne środowiska. W pogrzebie wziął także udział reprezentant Wojewody Wielkopolskiego Michała Zielińskiego, który w jego imieniu złożył wieniec. Mowy pogrzebowe wygłosili: przedstawiciel Uniwersytetu Ekonomicznego, przewodnicząca Gminy Żydowskiej w Poznaniu oraz Igor Megger – wiceprezes poznańskiego Oddziału TMLiKPW. Przemawiający podkreślali dorobek naukowy Profesora, Jego głęboką wiarę, a także zaangażowanie w działania Gminy Żydowskiej i naszego Towarzystwa. Profesor został pochowany w grobie swojej matki Malwiny.

Wraz ze śmiercią Profesora Jerzego Albrychta tracimy ostatnią osobę w Oddziale, która opuściła Lwów i Kresy w wieku dorosłym, osobę znakomicie przedwojenny i wojenny Lwów pamiętającą z własnych losów i przeżyć. Żegnamy ostatniego z lwowskich matematyków, wychowanka Lwowskiej Szkoły Matematycznej. Żegnamy osobę, która miasto Lwów miała do końca w swym sercu i w myślach oraz która tego faktu nie ukrywała i była z tego dumna.

Wanda Butowska
Poznań

Poznań godnie uczcił ofiary „Rzezi Wołyńskiej”

*Ich majątnością było tylko życie,
ich winą – POLSKOŚĆ,
ich karą – cierpienie,
ich katem – własni sąsiedzi.*

Główne uroczystości poprzedziła Msza św. w kościele o.o. Dominikanów za ofiary ludobójstwa dokonanego przez OUN-UPA na ludności polskiej. Czytania i modlitwę wiernych przeprowadzili członkowie naszego Towarzystwa: Marta Markunina, Katarzyna Kwinecka i Paweł Kuleszewicz, psalmy i piękną pieśń „Panis angelicum” zaśpiewała Agnieszka Szymańska.

Po zakończonej liturgii zebraliśmy się na dziedzińcu kościoła. Prezes Katarzyna Kwinecka powitała zebranych i krótko przedstawiła tło historyczne naszej uroczystości. Zakończyła apelem: ...dziękuję Państwu za obecność i proszę – spotykajmy się tu co roku. Pamięć jest potrzebna i następnym pokoleniom, i nam, byśmy nie zobojętnieli. „Tylko świadomość własnej przeszłości pozwala włączyć się nam w długi szereg pokoleń, by przekazać następnym wspólne dobro – Ojczyznę” (JP II).

Następnie wraz z bratem zakonnym odmówiliśmy modlitwę za ofiary. Wojewoda Michał Zieliński skierował do uczestników uroczystości list, który odczytała Teresa Masłowska. Apel Pamięci poprowadził mjr Tomasz Wykrota.

Po apelu jeszcze jedna podniosła chwila: Franciszkowi Bąkowskiemu została wręczona Złota Odznaka TMLiKPW. W imieniu Zarządu Głównego dekoracji dokonał członek Zarządu Głównego Janusz Furmaniuk. Pan Bąkowski jest dzieckiem ocalonym z napadu na Hutę Pieniacką. Po ocaleniu, jako sierota, przebywał w różnych domach dziecka. Jest jednym z założycieli Stowarzyszenia Huta Pieniacka. Współpracuje również i jest zaprzyjaźniony z na-

szym Towarzystwem. W 2018 roku wraz z ks. Isakowiczem-Zaleskim odsłaniał w miejscu opisywanych uroczystości tablicę pamiątkową z wmurowaną urną zawierającą ziemię z miejsc mordów na Wołyniu ufundowaną przez nasz Oddział. W 2020 roku został odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski, jako osoba szczególnie zasłużona za przywracanie pamięci o tragedii ludności cywilnej na Wołyniu, Podolu i Małopolsce Wschodniej



Franciszek Bąkowski (pierwszy z lewej) wśród członków Poznańskiego Oddziału TMLiKPW

Po odznaczeniu nastąpiło składanie wiązanek kwiatów i zapalenie zniczy. Kwiaty złożono w imieniu Wojewody Wielkopolskiego, Prezydenta Miasta, a także składali je przedstawiciele kilkunastu organizacji oraz osoby prywatne.

Na dziedzińcu uroczystości uświetniła Wojskowa Asysta Honorowa z Kompanią Honorową, sygnalistą i werblistą z 31 Bazy Lotnictwa Taktycznego w Krzesinach pod dowództwem porucznika Michała Hofmana. Przy tablicy natomiast wartę trzymała trójka proporcowca ze Stowarzyszenia Reprezentacyjnego Oddziału Ułanów Miasta Poznania w barwach 15. Pułku Ułanów Poznańskich.

Na zakończenie tej części uroczystości dowódca Okręgu Wielkopolskiego Polskich Drużyn Strzeleckich – płk Paweł Kuleszewicz wyrecytował swój wiersz „Spis grzechów”, który został nagrodzony brawami. Przy tablicy pięknie zaśpiewała porucznik Agnieszka Szymańska.

Tego samego dnia Msza św. w kościele pw. św. Jana Kantego na Grunwaldzie odprawiona została o godz. 17.00 w dolnej kaplicy. Uroczystość miała charakter bardziej kameralny, ale zgromadziła dość licznych wiernych, również rodziny z dziećmi, co jest bardzo budujące. Przy tablicy wartę trzymał poczet sztandarowy Bractwa Kurkowego.

Przed końcowym błogosławieństwem Igor Megger – wiceprezes poznańskiego Oddziału TMLiKPW – odczytał okolicznościową modlitwę – apel poległych. Po skończonej liturgii przed pamiątkową tablicą nastąpiło składanie kwiatów. W trakcie składania kwiatów poznański Oddział TMLiKPW reprezentowali: Igor Megger i Henryk Robak. Przy wyjściu można było złożyć datkę na akcję charytatywną TMLiKPW.



Złożenie kwiatów pod tablicą w kościele pw. św. Jana Kantego

W Czerwonaku pod Poznaniem odbyły się uroczystości pod pomnikiem „Orlikom kresowych stanic”, ufundowanym i ustawionym na własnej parceli przez naszego członka Zbigniewa Maurycego Kowalskiego. Uroczystości zorganizowała gmina Czerwonak. Z ramienia naszego oddziału udział wziął członek zarządu Michał Wojtasiak, który wygłosił okolicznościową mowę i złożył kwiaty.

W kościele garnizonowym przy ul. Szamarzewskiego nasza członkini Irena Bereźnicka zapaliła znicze pod tablicą pamięci 27. wołyńskiej dywizji piechoty AK.

Maria Dubanowicz
Kazachstan – 1940

Śmierć wygnańca

Mam dzisiaj w piersiach ból tylko i mękę
Bezmierną mękę tulacza
Głuchego bólu straszną udrękę
Co rwie się i lka i rozpacza
I serce mi rani i serce mi mrozi
Okrutnej hańba niewoli
Niewoli która dławi i grozi
Zabija co dnia powoli
I jest mi jakby słońce zgasło
Nie świeci już i nie grzeje
Nie moje oczy ujrzą tę jasną
Zorzę co w końcu rozdnieje
I jest mi o stępy tak źle i tak ciemno
Duszę mi struła niewola
Nie staną wokół nad grobem, nade mną
Brzozy wiejskiego kościoła
Z końca gdzieś świata słyszę dzwony
Tysiący dzwonów bicie
Tam jest dzieciństwa raj utracony
I wolne moje życie